

Rok XXI

Nr e-10(207)

Październik 2007

NA SZLAKU



**ODDZIAŁ WROCŁAWSKI PTTK
OFERUJE DO SPRZEDAŻY
NASTĘPUJĄCE WŁASNE WYDANE KSIĄŻKI**

1	Góry Stołowe - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
2	Góry Złote i Łądek-Zdrój - Krzysztof R. Mazurski	16 zł
3	Karpacz (Krummhübel) und Umgebung - Krzysztof R. Mazurski	6 zł
4	Masyw Ślęży - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
5	Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie - Krzysztof R. Mazurski	15 zł
6	Miłość i dramaty królowy Marianny - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
7	Na południe od Tatr - Jacek Kolbuszowski	30 zł
8	Od Kolonii do Krakowa - Jerzy Piekalski	10 zł
9	Od ojcowizny do ojczyzny - praca zbiorowa	20 zł
10	Ziemia Kłodzka. Część południowa - Krzysztof R. Mazurski	5 zł
11	Była taka broń - Eugeniusz Rachwański	15 zł
12	Kowel - Eugeniusz Rachwański	20 zł
13	Krzemieniec i okolice - Janina Gusłowska	5 zł
14	Lwowskie wczesne dojrzewanie - Adam Dotzauer	16 zł
15	Lwów - wspomnienia lat wojennych - Janina Augustyn Puziewicz	20 zł
16	Międzygórze i okolice - Krzysztof R. Mazurski	8 zł
17	Mudrahela - Adam Holonek	5 zł
18	O wrocławskich tramwajach - Jerzy Maciejewski	12 zł
19	Przestrzenie i krajobrazy - Jacek Kolbuszowski	6 zł
20	Pudełko lwowskich wspomnień - Witold Szolginia	5 zł
21	Rowerem z Wrocławia - Jerzy Maciejewski	13 zł
22	Sudety czeskie - Marek Staffa	2 zł
23	Sułów i okolice - Roman Jaśniewski	12 zł
24	Śląski Labirynt Krajoznawczy - red. Julian Janczak, nr 3	10 zł
25	j. w., nr 4	6 zł
26	j. w., nr 5	6 zł
27	j. w., nr 6	10 zł
28	j. w., red. Krzysztof R. Mazurski, nr 8	12 zł
29	Tamten Lwów V - Witold Szolginia	6 zł
30	Tamten Lwów VI - Witold Szolginia	6 zł
31	Tamten Lwów VIII - Witold Szolginia	8 zł
32	Zapach monsunu - Maria Sawicka	15 zł
33	1000 lat wrocławskiego sportu - Ordyłowski, Ostrowski	12 zł
34	Futbolistka - Mirosław Olędzki	10 zł
35	Geografia turystyczna Sudetów - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
36	Moja medycyna - Augustyna Puziewicz	30 zł
37	Narciarstwo wędrownicze - Konrad Ostańkiewicz	10 zł
38	Pielgrzymy 2001	20 zł
39	Przez światy poetyckie Salomei Kapuścińskiej - Mirosław Olędzki	15 zł
40	Taki świat t. 1-3 - Andrzej Bartyński	30 zł
41	Wiersze dla dzieci - Anna Surmach	5 zł
42	Wróć, bo czereśnie - Andrzej Bartyński	10 zł
43	Znakowane szlaki w Karpatach Polskich - Andrzej Matuszczyk	14 zł

Przy sprzedaży wysyłkowej zostanie doliczona opłata pocztowa w zależności od ilości zamówionych pozycji.

Wszelkich informacji co do oferty udziela biuro

Oddziału Wrocławskiego PTTK

Rynek-Ratusz 11/12

50-106 Wrocław

Tel. 0713430344, e-mail: biuro@pttk.wroc.pl

NA SZLAKU

SPIS TREŚCI

Z naszego regionu	-	str. 2
Wyprawa po worek cementu	- Janusz Ziarnik	str. 2
Karkonoski Duch Gór	- Krzysztof R. Mazurski	str. 3
Ojczyste szlaki	-	str. 8
W krainie Łemków	- Marzena Wojnarowicz-Trojanowska	str. 8
Beskidzka piątka	- Lucyna Pońc	str. 10
Druga przechadzka	- Kuba Terakowski	str. 12
Śladami KOP-u	- Andrzej Rumiński	str. 14
Trasa miesiąca	-	str. 19
Rowerem z Dzieńmorowic	- Agata Pogoda	str. 19
Globtroter	-	str. 21
Mont Blanc	- Tomasz Śnieżek	str. 21
Rekord cichaczem	- Rudolf May	str. 22
Na styku kultur	- Lesław Romanek	str. 23
Wielka woda Niagary	- Janusz Prociński	str. 24
Z turystycznych kregów	-	str. 26
Turystyka na wrocławskiej Odrze	- Leszek Mulka	str. 26
Jak powstało KPM	- Anna Wirpsza	str. 28
Wkrótce Tour Salon	- Marta Sykucka	str. 29
Dawcom w darze	- Maria i Eugeniusz Ogrodowiczowie, Kuba Terakowski	str. 30
Ekologia na szlaku	-	str. 31
Józef Rostafiński	- Alicja Zemanek	str. 31
Poradnik turysty	-	str. 33
Na Orlej Perci	- Juliusz Wysłouch	str. 33
Na kolekcjonerskim szlaku	-	str. 35
Wystawy na CZAK 2007	- Henryk P. Sabala	str. 35
Wystawcy na CZAK 2007	-	str. 36
Recenzje, nowości	-	str. 38
Lwów	- Ryszard M. Remiszewski	str. 38
Jak kształtowała się karkonoska...	- Krzysztof R. Mazurski	str. 39
Z Bezdrożami nie zginiiesz	- Patrycja Babicka	str. 40
VIII Spotkanie Śladowe NS	- Andrzej Stróżecki, Juliusz Wysłouch	str. 40
Listy, opinie, dyskusje	-	str. 41
Ogłupiacze i góry	- Juliusz Wysłouch	str. 41
W Sokołowsku dbają o turystów	- Krzysztof R. Mazurski	str. 42
Stopka redakcyjna	-	str. 42

Na okładce: Na grani Gran Paradiso. Fot. Tomasz Śnieżek.

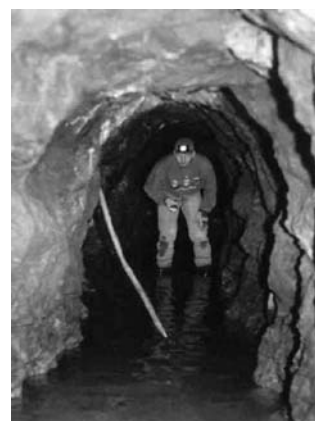


WYPRAWA PO WOREK CEMENTU

Bogdan opowiedział mi kiedyś historię tajemniczych budowli w Górach Sowich... Wydrążone w skale kilkusetmetrowe sztolnie i naziemne, żelbetonowe budynki łączyły się według niego w system współzależnych kompleksów. Zastanawiał rozmiar prac, ponad 250 tys. m³ betonu oraz ich niewiadomy dotychczas cel. Wspomnił też o workach cementu. Ostatnią wiadomość, przyznam się, zbagatelizowałem.

Góry Sowie były przedmiotem zainteresowań Niemców jeszcze przed II wojną światową. Te najstarsze góry regionu zbudowane są głównie z piaskowca i gnejsu, skały metamorficznej, w skład której wchodzi m.in. kwarc, skaleń oraz mika. Ale nie wartość minerałów zwróciła uwagę Niemców, lecz lokalizacja gór i sama skała. Można ją stosunkowo łatwo drażyć (łatwiej niż np. granit karkonoski), daje też solidne ściany korytarzy. Budowę rozpoczęto w 1943 r. Siłę roboczą stanowili jeńcy z obozu koncentracyjnego „Gross-Rosen”, prace prowadziła spółka akcyjna Śląska Wspólnota Przemysłowa. Planowano prawdopodobnie powstanie w tym miejscu największej z kwater Hitlera, a przedsięwzięcie nosiło kryptonim „Riese”, czyli „Olbrzym”. Z racji zbyt wolnego postępu robót w kwietniu 1944 r. budowę przejęła „Organizacja Todt”. Siłami robotników przymusowych powstawało równoległe siedem kompleksów: „Rzeczka”, „Jugowice”, „Osówka”, „Włodarz”, „Soboń”, „Sokolec” i „Książ”. Zorganizowano dla nich na tym obszarze filię „Gross-Rosen” obejmującą kilkanaście komand roboczych. Chodziło o to, by robotnicy tracili jak najmniej czasu na dojście do pracy. Chodniki drażono zwykle prostopadle do powierzchni góry. W nawiercone otwory wkładane były ładunki wybuchowe. Po zdetonowaniu urobek ładowano na wagoniki kolejki. Aby uzyskać większą wysokość chodnika, prace prowadzono równoległe na dwóch poziomach. Urobek wybierany z górnego wysypywany był przez specjalne otwory na dolny pokład, skąd kolejka wywoziła go na zewnątrz. Po uzyskaniu planowanych rozmiarów strop dzielący chodniki był zawalany. Od sztolni bite były prostopadle korytarze. W ten sposób powstawały komory o dość znacznych rozmiarach, jak ta w kompleksie „Rzeczka”, która ma 80 m długości, 8 m szerokości i 10 m wysokości. Z reguły u wylotu sztolni lokowano w specjalnie wybitych niszach wartownie. Na drugiej stronie ciągu drażono od dołu do góry szyby wentylacyjne.

Tak duże komory nasuwają pytanie, czy naprawdę chodzi tu o kwaterę Hitlera? Duże (zbyt duże), zimne pomieszczenia nie stwarzały dobrych warunków dla mających w nich przebywać ludzi. Odkąd prace zaczęła nadzorować „Organizacja Todt”, nabrały one tempa, być może wtedy też zmienił się cel budowy. Ilość, rodzaj pomieszczeń oraz ich wzajemne powiązania sugerują kompleks przemysłowy. Mogłaby to być podziemna fabryka produkująca...? Jedna z teorii mówi o wytwarzaniu części dla Luftwaffe lub, idąc dalej tym tropem, części do tajnej broni, czyli V-1 i V-2. Prace były prowadzone aż do kwietnia 1945 r. Po co, skoro Niemcy już wtedy wiedzieli o klęsce? Jeśli coś produkowano, to może zostało „to” w środku, zwłaszcza że zaraz po wyzwoleniu część sztolni była zawalona. Zawaly prawdopodobnie spowodował człowiek, nie natura. Pozostałe na powierzchni ślady robót i materiały budowlane pomnażają pytania. Tyle historii dającej informacje niezbędne przy wkraczaniu w świat Gór Sowich. Gnany ciekawością wędrowałem z kolegą po wzgórzach Włodarza. Był kwiecień, wiosna ledwo rozwinęła pąki drzew i krzewów. Las na wskroś prześwieślały promienie słońca. Wybraliśmy tę porę, bo widoczne są wtedy fragmenty budowli naziemnych. Może znajdziemy worki cementu? Kompleks „Włodarz” (od nazwy góry) to cztery równoległe sztolnie o długości 180-240 m, szyb oraz komora. Na powierzchni pozostały wykopy, betonowe fundamenty i zbiornik na wodę. Do placu budowy wiodły drogi i torowiska, którymi transportowano urobek i materiały. W pobliżu wylotu sztolni nr 1 znajdował się ciąg magazynów. Szukamy go. Ślad stanowią szlaki komunikacyjne.



Trudno w lesie, gdzie rosną 50-letnie drzewa, odnaleźć splantowany teren. Jednak dzięki znajomości rzeczy i terenu nam się to udaje. Trafiamy na potok, a zaraz za nim pierwszy ciąg worków. Pryzma ma ok. 5 m szerokości i 1,5 m, a czasem więcej wysokości. Jej długość trudno ocenić, bo ginie w lesie. Równo poukładany cement robi wrażenie, jakby czekał na swojego majstra czy robotnika. Tylko że ostatni majster odszedł stąd 55 lat temu, a worki porósł mech. Wtedy worki były zapewne osłonięte przed deszczem, teraz skamieniały. Skamieniał cement i papierowe worki, a wraz z nimi odcisk pleców noszących je robotników.

Idziemy wzdłuż znaleziska. Pryzma ciągnie się kilkaset metrów – wokół las. Dwa różne światy. Krajobraz przemysłowy stworzony przez człowieka, zimny, uporządkowany kamień i natura ze swą nieprzewidywalną witalnością: drzewa, krzewy, paprocie... Na trasie kolejki znajdujemy następne pryzmy. W jednej z nich ktoś wydrążył grotę, gdzie indziej wybrano worki z środka zostawiając mur. Za każdym razem ciąg skamieniałych worków robi wrażenie irracjonalnego. Pogłębia je skojarzenie worków z pracą tysięcy jeńców i celem tej pracy... Wchodziłem do kilku sztolni, zwiedzałem kompleks „Rzeczka” i „Osówka”, ale dopiero znalezienie worków skamieniałego cementu uzmysłowiło mi skalę przedsięwzięcia. Sztolni nie widać, fundamenty są zasypane bądź zarośnięte, a tu tysiące worków cementu. Dzisiaj nic komukolwiek po nich, a jednak...

Informacje praktyczne

Góry Sowie są częścią Sudetów. Walim, skąd najbliżej do opisanych miejsc, to duża wieś w pobliżu Wałbrzycha leżąca nad potokiem Walimka. Z Walimia niebieskim szlakiem przez Mosznę (771 m) dojść można na Włodarz. Worków należy szukać na północno-wschodnim zboczu góry idąc równoległe do szlaku.

Janusz Ziarnik

Od Redakcji: Polecamy jedyny po tym regionie przewodnik „Góry Sowie” K. R. Mazurskiego (OW Sudety 1996).

KARKONOSKI DUCH GÓR W POLSKIEJ TRADYJCJI



W zasadzie nie budzi dziś wątpliwości słowiańskie pochodzenie mitu o Duchu Gór – tymczasowo go tak nazywając, panującym nad Karkonoszami. Także wielu niemieckich znawców to zaakceptowało, żeby wspomnieć tylko piszącego o tym w 1926 r. Peukerta. Po stronie czeskiej wśród rodzimej ludności zwał się też zapewne jakoś swojsko, jednak wczesne zniemczenie ludności polskiej po północnej stronie tych gór doprowadziło do zagubienia (o ile ona w ogóle istniała) polskiej wersji jego miana. Być może, brzmiało ono *Popiel*, na co wskazywałyby liczne nazwy typu *Popelberg*, *Popelstein*, *Popelloch* w rejonie osadnictwa Bobrzan czy też *Popelmann* na określenia owego ducha w niektórych starych legendach. Według J. Krasonia mogło to być związane z pogańskim kultem wspomnianego plemienia, dotyczącego jakiejś personifikacji sił przyrody. Jednakże w najstarszych polskich wzmiankach o nim występuje jedynie spolszczona wersja niemieckiego *Rübezahla*. Oto Walenty Roździeński w swoim poemacie o śląskich górnikach i hutnikach pisze następująco:

*Z tych duchów jeden trefny duch się ukazał
Okolo Ryzenbergu, a z ludźmi kuglował.*

*Wszakże acz więc w strasliwej postawie przychodził
Do ludzi, przecie nigdy żadnemu nie szkodził.*

Wyjaśnijmy tu, że *trefny* to nie, jak dziś, *zakazany*, *niedobry*, lecz po staropolsku *zabawny*, *dowcipny* lub *pobudzający do śmiechu*; *kuglował* czyli *zartował* lub *figlował*, a *Ryzenberg* to *Riesengebirge*, czyli Karkonosze. Widać więc, że na początku XVII w. w kręgu polskiego społeczeństwa Duchowi Gór daleko było od ponuractwa i złośliwości, które to cechy nadali mu pod koniec owego stulecia niemieccy humaniści bazujący na zbiorach legend w opracowaniu Hansa Schultze z Lipska, używającego łacińskiego pseudonimu Johannes Paul Praetorius. On to w poważnym stopniu zdemonizował (w negatywnym znaczeniu słowa) karkonoskiego ducha. Jego miano wspomni kilkadziesiąt lat potem stolnik żmudzki Teodor Bilewicz w swoim rękopiśmiennym „Diariuszu peregrinacji niemieckiej czeskiej i włoskiej ziemi”, odbytej w 1677 r. u boku księcia

Michała Kazimierza Radziwiłła. Orszak podkanclerzego litewskiego dotarł aż na Śnieżkę, błędnie zresztą nazwaną przez kronikarza Rywencalem, a potem nad Wielki Staw. I tu zacytujmy dokładnie odpowiedni fragment diariusza we wspaniałym przykładzie barokowego makaronizmu:

„*Ex traditione (zgodnie z podaniem) powiadają, że diabeł tam tymże imieniem, co góra Rywenzahl (podkr. KRM) inhabitat, bo saepe apparebat (mieszka, bo często się ukazywał). Myśmy go nie widzieli, ale proxime habitantes (w pobliżu mieszkający) powiadali, że go immediate (bezpośrednio) przed niedziel kilka widzieli*”.

No cóż, jest to możliwe, jako że Martin Helwig – twórca pierwszej w miarę dokładnej mapy Śląska z 1561 r., zlokalizował na niej siedzibę Ducha Gór właśnie między Kowarami a Śnieżką. A że lubił on zimową sannę z zaprzęgniętym dzikiem po tym właśnie górskim jeziorze, więc może był tam i latem.

Tak tedy różne wersje spolszczenia niemieckiej przeczwy krążyły wśród Polaków, szczególnie dzięki zamieszczeniu legendy o Rūbezahlu w galicyjskich czytankach szkolnych, w tym Rybecal, jaką zastosował m.in. Wincenty Pol, pisząc w swoich listach o zakupie kija zakończonego *twarzą Rybecala* i o *Rybecalu ustruganym z drzewa*. Nie dostrzegął on w nim jednak cech złośliwości, a wręcz przeciwnie – żartownisia na podobieństwo krakowskiego pana Twardowskiego. Pol kupił więc dzieciom tego *psotnika w kapocie*.

Bardzo ładną wersję legendy – o przeklętym przez matkę i tułającym się synu ubogiego szewca z Legnicy, który tak polubił góry, iż zamieszkał nich na stałe zostając ich królem, opublikował Stanisław Bełza, jednakże bez podania imienia nawiązującego do wymienionych już form. Znacznie słabszy i od Pola, i od Bełzy poeta-wędrowiec, ale zarazem i krajoznawca, namiętny poszukiwacz śladów polskości na Śląsku – Bogusz Zygmunt Stęczyński, pokusił się jednak o próbę rzeczywistego spolszczenia *Ruhezahla*, choć dochodzi do tego stopniowo. W tworzonym świeżo po podróży poemacie „Sudety” (lata pięćdziesiąte XIX w.) pisze jeszcze:

*A na większą okropność te skaliste góry
Zamieszkuje Rybecal, duch zawsze ponury,
Silny, bystry, swawolny - to znika, to chodzi,
Podróżnych napastuje - częstokroć zawodzi,
Pokazując się jako myśliwiec świadomy,
Znający wszystkie przejścia, tamy i rozłomy;
To znowu kozłem albo smokiem się pojawi,
A czasem się i wężem nieprzyjemnie stawi!
To znów się jako botanik pokaże łagodnie,
Wskaże drogę, powiedzie, lecz wcale zawodnie.*

PRZEDSTAWIENIA KARKONOSZA – DUCHA GÓR
(ZA: KARKONOSZE 1994 NR 6 S. 31-35).



1. Na mapie Martina Helwiga (1561). 2. Na mapie Karkonoszy Szymona Hüttlova (1570-1580). 3. Na mapie Czech Johana Gringera (1569). 4. Na mapie Czech Pawła Aretina (ok. 1619). 5. Na rycinie J. P. Praetoriusa (1672). 6. Drzeworyt nieznanego autora z XVIII w., wg G. Grundmanna: *Das Riesengebirge in der Malerei der Romantik*. Bd 1. Breslau [B.r.]. 7. Opiekun laborantów, koniec XVIII w., wg *Schlesien* 1938 Bd 9, str. tytułowa. 8. Moritz von Schwind, ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze. 9. Ludwig Richter, 1848 (zbiory Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze). 10. *Wanderer im Riesengebirge*, spis rocznika 1884. 11. Z karty członkowskiej RGV, 1885 (ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze). 12. *Gebirgsfreund* 1894 nr I, okładka.

Jakże trafnie w tak krótkim fragmencie Stęczyński zawarł kwintesencję niemal wszystkich opowieści o karkonoskim Duchu Gór! Po przemyśleniu jednak wielu doznań ze Śląska, w tym i Sudetów, dopracowaniu formy, poeta w drugim poemacie pt. „Śląsk” z około 1879 r., też zresztą opublikowanym dopiero po II wojnie światowej, zastosował już rzeczywiście bardziej polską wersję:

...- *A te tyse ściany*
Zamieszkuje Rzepolicz, rzadko widywany,
Ale silny, swawolny duch, co zawsze chodzi
I podróżnych w kierunkach podróży zawodzi,
Pokazując się jako myśliwiec świadomy,
Znający doskonale przejścia i rozłomy.
To się jeleniem, kozłem lub smokiem pojawi
Albo syczącym wężem zuchwale się stawia.
To znowu jako botanik wystąpi łagodnie,
Poradzi, drogę wskaże, lecz wcale zawodnie.
Często w mgłę przemieniony, świat piękny zasłania
Deszczem, gradem i śniegiem do gniewu nakłania!
Przewodnik, kończąc mowę, radzi nam serdecznie,
Abyśmy czystą myślą tchnęli tu koniecznie
I mieli szczerłość w sercu, pogodę na czole,
A ten duch nie wyrządzi nam żadną swawolę!

Wypada tu tylko dodać, że rada przewodnika i dziś jest aktualna. Być może, był nim wspomniany też przez Stęczyńskiego niejaki Walenty Grzała. Wygląda na to, iż nawet on nie znał jakiejś słowiańskiej czy polskiej wręcz wersji miana Ducha Gór. Ale i w tym opisie nie odznacza się on groźnym lub złośliwym charakterem, a jest jedynie usposobieniem kary dla niedobrych ludzi. Z powodu jednak pozostawiania utworów poety-wędrowca w rękopisie określenie *Rzepolicz* nie weszło do polskiego obiegu i nadal krążyła albo niemiecka, albo jej spolszczona wersja. W ogóle legenda ta została przesunięta na dalszy plan po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., gdy całe już społeczeństwo mogło zachwycać się Tatrami i góralszczyzną oraz innymi górskimi regionami, jak Czarnohorą i Gorganami.

Rzecz odżyła zaraz po zakończeniu II wojny z chwilą pojawienia się znów pierwszych osadników pod Karkonoszami. Wśród nich znalazł się Józef Sykulski (1905-1994), polonista, literat-amator i zarazem krajoznawca, który w sposób jak najbardziej świadomy postanowił „oswoić” obcy kulturowo region nowej tu społeczności. Osiadłszy w Jeleniej Górze natrafił w niej i jej okolicy na tyle przedstawień i motywów Rubezahla, iż zagłębił się w jego mitologię. Doszukał się w niej na tyle dużo akcentów i cech słowiańskich, że postanowił postać tę adaptować do polskich warunków. Nie mógł on oczywiście użyć niemieckiego miana, a nie znał z oczywistych powodów poematu Stęczyńskiego. Sykulski dokonał więc dosłownego tłumaczenia, czyli tzw. kalki nazewniczej, w formie *Liczyrzepy*, jako że (*weisse*) *Rübe* to *rzepa*, zaś *zahl(en)* - *liczyć*. To oczywiste nawiązanie do późnej niemieckiej legendy o liczeniu rzepy na polu przez Ducha Gór. Jeszcze w 1945 r. została opublikowana jego książeczka zawierająca rozbudowaną wersję legend. Bardzo szybko zyskała ona spory rozgłos, głównie dzięki zamieszczeniu informacji o niej w serwisie PAP i Polskim Radiu oraz po prostu zapotrzebowaniu na własną, polską literaturę o regionie. Przekonanie o polskim pochodzeniu mitu pogłębił już w 1947 r. inny autor na łamach popularnego magazynu krajoznawczego „Śląsk”, *nota bene* wydawanego w Jeleniej Górze, upatrując w Rubezahlu zgermanizowanego Swantewita. Trzeba wiedzieć, że nie tylko takich dokonywano wówczas ekwilibrystyk dla wytworzenia poczucia bezpieczeństwa wśród osiedlających się na Ziemiach Odzyskanych polskich społeczności. Nie jest to atoli tak całkiem bezzasadne. Oto w niemieckim bibliofilskim z 1908 r. wydaniu legend przeczytać można, co następuje: *Tego ducha imię prawdziwie mówiąc brzmi Ronzival: jest to polskie imię: ponieważ kraina Śląsk dawniej do Korony Polskiej należała.*

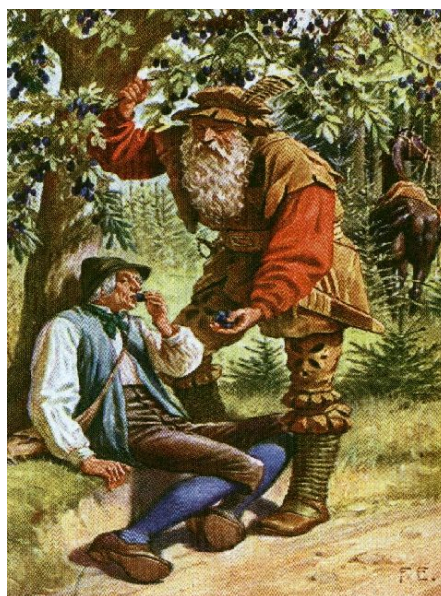
Skąd ten *polski* Ronzival, to inna sprawa, ale z pewnością jest to zniekształcony *Rübezahl* (por. spolszczony Rywencal). Pierwszym śladem poszła inna autorka (J. Hoesik-Hendrichowa), w 1946 r. publikując swój utwór z wykorzystaniem już popularyzującego się Liczyrzepy. Nie do wszystkich zainteresowanych jednak to dotarło, bo oto jeszcze w 1950 r. w młodzieżowym czasopiśmie zamieszczono tekst o Duchu Gór pod mianem... *Rübezahla*!

W ustalonym przez Sykulskiego brzmieniu nazwa zaczęła robić karierę: domy wczasowe i inne obiekty w Karkonoszach, lokale gastronomiczne. Do dziś funkcjonuje w Karpaczu schronisko młodzieżowe „Liczyrzepa”, utrwalające to fatalne językowo, ale nie tylko, określenie wśród kolejnych generacji młodych Polaków – jakby było mało opublikowania dla niej właśnie w 1965 r. obszernej książki pod tytułowym mianem. Dodatkowego rozgłosu nadało zorganizowanie na Dolnym Śląsku popularnej przez wiele lat gry losowej o „typowej” dla regionu nazwie, jak mniemali jej twórcy, a mianowicie „Liczyrzepka”. Przez kilkadziesiąt lat swojego istnienia ostatecznie oswoiła mieszkańców Nadodrza i sporej części kraju z tym brzmieniem, a pośrednio i z samym *Liczyrzepą*. Także i przewodnicy regionu jeleniogórskiego dołożyli tu swoje w ramach szybko wzbierającego ruchu turystyczno-wczasowego w Karkonoszach, często o nikłej wiedzy faktycznej, stąd posługujący się chętniej wątkami legendarnymi, anegdotycznymi i humorystycznymi. *Liczyrzepa* coraz bardziej utrwał się w narodzie.

Dopiero niezapomnianego Tadeusza Stecia zainteresowała cała ta mitologia i brzmienie miana, dalekiego od źródeł karkonoskiej legendy, w głębokim jego przekonaniu słowiańskiego rodowodu. Szeroko to rozwinął po kilku latach w monograficznym (wraz z Wojciechem Walczakiem) opracowaniu Karkonoszy. Wtedy też zaczął propagować własną wersję, zresztą zapożyczoną z folkloru górnośląskiego, a mianowicie *Rzepiór*. Trzeba przyznać, że Stec nie żywił nadziei na wyparcie nim Liczyrzepy, ale przynajmniej na restytucję tego wyrazistego i w dodatku nawiązującego do niemieckiej wersji określenia. O jego żywotności świadczy fakt uporczywego posługiwania się nim, mimo wielokrotnych wyjaśnień i naukowej dyskredytacji, przez współczesnych promotorów turystyki w Karkonoszach, a już szczególnie w Szklarskiej Porębie, chętniej sięgających do niemieckich odniesień aniżeli słowiańskich. Stopniowo jednak zaczęło ono przenikać do społeczeństwa, co w dużej mierze należy też zawdzięczać powstałemu w 1965 r. Kołu Przewodników przy ówczesnym Oddziale PTTK przy Oddziale ZNP (obecnie Oddział PTTK „Śródmieście” we Wrocławiu). Po kilku latach istnienia przybrało ono jako nazwę właśnie „Rzepiór”. Wyczuwając zgrzytającą nieco w zębach i fałszywą interpretację karkonoskiego symbolu wielu organizatorów i inicjatorów różnych przedsięwzięć spod najwyższego sudeckiego pasma woli używać neutralnego określenia, którym posłużono się w 1998 r. przy organizacji konkursu plastycznego dla dzieci pod nazwą „Skarbiec Ducha Gór”.

Za sprawą Stecia problemem tego miana zajęli się wreszcie kompetentni językoznawcy. Przede wszystkim chodzi tu o Stanisława Rosponda i jego dwie obszerne publikacje: jedną w specjalistycznym czasopiśmie, drugą - w regionalnym roczniku, co po kilkunastu latach przypomniał masowemu czytelnikowi Jan Miodek. Jego wywody można streścić następująco.

Niemieckie określenie *Rübezahl* jest, jak już wspomniano, zbitką dwóch słów. W istocie jednak są one fonetyczną adaptacją innej zbitki *Riphenzabel*. Rozłożyć ją należy na dwie składowe. *Riphen* to Ryfy albo Ryfejskie Góry, jak w XVI w. niemieckiego pochodzenia humaniści próbowali określać Sudety czy, dokładniej, Karkonosze – *montes Riphaei*. Tak je odnotował – Góry Ryphejskie, cytowany Roździeński. A z kolei owe *Riphen* pochodzą od germańskiego *rip* względnie *riph* na oznaczenie góry lub skały. Ma to zresztą starsze, indoeuropejskie pochodzenie, bowiem *skala* czy *przepaść* w łacinie brzmi *rupes*.



Duch Gór wspomaga wędrowca

Tak tedy Karkonosze to inaczej... po prostu Góry Skaliste lub wręcz Skały. Trudniej wyjaśnić drugi człon – *Zabel*, ewentualnie *Zagel*=ogon, co wydaje się Miodkowi – i chyba słusznie, znacznie mniej prawdopodobne.

Sensowniej brzmi bowiem hipoteza w odniesieniu do pierwszej formy, oznaczającej *diabla* czy *ducha*, co nawiązywałoby do przed-chrześcijańskich tradycji osadnictwa słowiańskiego pod Karkonoszami, do owego Popiela. Tak więc zrekonstruowane polskie miano brzmiałoby: Skalny Diabeł czy może trafniej (owe skały były przecież synonimem gór) Górski Duch.

W ten sposób dotarliśmy do używanego dziś często neutralnego określenia *Duch Gór*. *Metamorfoza* dokonała się wśród miejscowej ludności niemieckiej, w sumie dość wykształconej (pamiętać należy o stojącym na wysokim poziomie gimnazjum w Jeleniej Górze), która adaptując do swojego folkloru samą legendę przyjęła określenie jej głównego bohatera od swoich humanistów. Jako że jednak ten *Riphenzabel* był mało zrozumiały, tedy powszechną koleją doszło do dostosowania poszczególnych członów do jasnych słów, podpartych zapewne rychło i stopniowo rozbudowywaną opowieścią, jak to dzieła niemiecka (co widać z kontekstu) dziewczoja wykiwała przytępawego, miejscowego (w domyśle więc – słowiańskiego) jakiegoś obdartego ducha. Zauważyć trzeba, iż ma ona wybitnie negatywny wydźwięk dla słowiańskości właśnie. I choć teraz tego się nie odczuwa, inaczej musiało to być jeszcze nie tak wiele wieków temu.

Rospond poszedł inną jednak drogą. Wiążącą dla niego okolicznością stało się zamieszczenie przez Roździeńskiego przy wzmiance o trefnym duchu koło Ryzenberku uwagi, iż to Skarbnik, ale w staropolskim znaczeniu, czyli *opiekun*, a nie, jak obecnie jest to słowo rozumiane, *strażnik skarbów*. Miałby to być więc *Ryfejski Skarbnik*, a we współczesnej polszczyźnie – *Górski Opiekun*. Zgadzałoby się to wszakże z rolą, w jakiej często występuje w legendach i cytowanych wierszach. Rospondową interpretację przyjął po latach Sykulski, choć dopiero po jego śmierci doszło do opublikowania zmienionych poglądów przy okazji szykowania w 1985 r. nowego zbioru opowieści.

Bohater niniejszych rozważań coraz bardziej wrasta i w polską tradycję regionalną, coraz więcej bowiem znajduje miejsca na różnych łamach. W przeciwieństwie jednak do sąsiadów tej części Polski, panuje w niej zamieszanie, by nie powiedzieć – bałagan, w jego nazewnictwie. Autor niedawno wydanej monografii Karkonoszy, zresztą bardzo dobrej, ograniczył się jedynie do pobieżnej informacji o genezie legendy i wymienienia różnych określeń jej czołowej postaci (ducha?) i podkreślenia *nieudolności spolszczeń*. Z pełnym przekonaniem trzeba się zgodzić z tą oceną. Jeżeli więc odrzucimy *Rzepióra*, *Rzepolicza* i najbardziej chybionego *Liczyrzepę*, tym bardziej *Rübezahla*, *Rybencala* i *Rywencala* (to wszystko jest przecież li tylko szyderczą niemiecką przezwą), a też abstrakcyjnego *Pana Johanna* czy *Pana Jana* (bo i tak próbowano go kilka wieków temu nazywać), to pozostanie nam *Skarbnik* i *Duch Gór*. Pierwsza możliwość wprawdzie dobrze oddaje (w pierwotnym znaczeniu) istotę mitu, ale znaczenie współczesne odmiennie kojarzy się z folklorem górniczym i nie zapewnia identyfikacji regionalnej. Druga natomiast, choć zbliża do istoty regionalnej, stanowi wszakże zbyt ogólnikowe, mało spersonifikowane określenie. Wobec tego trzeba opowiedzieć się za wersją, popularyzowaną po stronie czeskiej od XIX w., w którym dokonano dzieła oczyszczenia języka czeskiego z obcych naleciałości, głównie niemieckich. Brzmi ona – Krakonosz (nawiązując do niej Zbygniew Martynowski z Łądka Zdroju łączył element karkonoski z krakowskim a więc budując podstawę do przekonania o polskim rodowodzie mitu: Krakonosz miał być wojem Kraka, który zyskał swoje imię od noszenia wodza w chwilach trudnych), ale jeszcze lepiej – Karkonosz, co bezpośrednio nawiązuje w polszczyźnie do nazwy regionu i stanowi doskonałą jego regionalną, niepowtarzalną identyfikację. Nie jest to zresztą propozycja nowa. Pojawiła się ona po polskiej stronie na początku lat siedemdziesiątych, chyba pod wpływem opublikowanego i cytowanego zbioru Praetoriusa właśnie w 1970 r., co zostało rychło odnotowane w bibliografii dolnośląskiej.

Niech tedy **Karkonosz** miłościwie nam panuje w Karkonoszach! *Vivat rex montanus!*

Krzysztof R. Mazurski

(Przedruk z „Z lamusa Rzepióra III”. Wrocław 2000)

* * *



W KRAINIE LEMKÓW

Beskid Niski – tajemnicza kraina pagórków, zamkniętych lasów gąszczem, kryje w sobie tyle tajemnic, tyle opowieści o człowieczym losie. Dwie potężne zawieruchy XX stulecia mocno wstrząsnęły tym skrawkiem karpackiej krainy. Najpierw bardzo długo, bo aż dwa lata stał tutaj front. Pozostały po nim pamiątki: okopy w lasach, cmentarze i cmentarzyki, skryte wśród gąszczu przed ludzkim okiem - niektóre z nich dotąd, pomimo nadgryzienia przez ząb czasu, są istnymi perełkami architektury. Po krótkim, zaledwie dwudziestoletnim okresie spokoju druga zawierucha przetoczyła się przez świat, a po niej nastąpiły masowe wysiedlenia. Po ludnych wsiach pozostały zdziczałe sady, krzyże znaczące miejsca chat, porośnięte chwastem cmentarzyki i cerkwie, górujące nad dolinami. Tyle pozostawiła najnowsza historia. A wieki wcześniejsze... resztki po obozowiskach konfederackich, stare miasteczka na obrzeżach gór, nieliczne chaty chłopskie, mowa, zwyczaje... słowem wszystko, z czego składa się życie.

Fot. Cerkiew w Rozdzielu.

Jest tu wszystko: góry, las, woda (akwen między Uściem a Klimkówką i wody mineralne w Wysowej) — czegoż chcieć więcej? Bazę wypadową założyć warto w Regetowie, u podnóża Rotundy (stoi tu każdego lata studencka baza namiotowa, z wszelkimi wygodami: piec kuchenny, świetlicojadalnia, miejsce na ognisko, nawet prysznic). Wieś niewielka, może z sześć chałup, ale jest nawet sklep — czynny całą dobę (na dzwonek) i bardzo mili gospodarze. Jesteśmy pod Rotundą, tym samym cel pierwszej eskapady nasuwa się sam: rotunda.



Na szczycie tego wyróżniającego się kształtem wzgórza, porośniętego (jak zresztą większość górek w Beskidzie Niskim) lasem bukowo-jakimśtam (to „coś” może być wszystkim: jodłą, świerkiem, sosną, dębem, grabem, jesionem, jaworem, jarzębiną, brzozą, olchą...) i jeżynami z dodatkiem malin i jagód, znajduje się cmentarz wojenny, teraz mocno zniszczony, niewidoczny z dołu. Gdy go budowano, z daleka górował nad dolinami otaczającymi zewsząd Rotundę – pewnie tożsamą, jak przed wiekami jakiś chram dawno zaginionego Bóstwa górował nad okolicą, strzegąc jej i zarazem ostrzegając.

Ze szczytu schodzimy do Ługu – przysiółka Zdyni, by za chwilę znów podchodzić w górę – na Popowe Wierchy. Wyniosły las daje trochę wytchnienia od palącego słońca, a okazałe jeżyny to smaczny posiłek. Trochę monotony szlak, urozmaicamy sobie drogą na azymut - do Gładyszowa. Tu uwagę przykuwa XVIII-w. cerkiew, służąca aktualnie dwóm obrządkom: katolickiemu i unickiemu. Jednonawowa, drewniana budowla przykuwa uwagę lśniąca blachą i... wnętrzem – otwarte! Opodal znajduje się niezbyt zabytkowy budynek, przed którego frontem stoi pomnik (odnowiony) poświęcony milicjantom poległym w walce z bandami UPA – to w obecnych czasach niszczenia wszystkiego, co przypomina o PRL-u istne kuriozum... Jeszcze mały spacer przez łąki, na skraj lasu, skrywającego cmentarz wojenny. Był on – podobnie jak inne cmentarze w tej okolicy - projektowany przez Dušana Jurkovića i wykonany w kamieniu i drewnie. Obecnie ten skrawek ziemi jest ogrodzony odnowionym murkiem, strzegą go nowe krzyże i przepiękna, zdająca się ulatywać do nieba wieża, zwieńczona krzyżem. Szosą zmierzamy do Smerekowca. Po drodze mijamy kolejny cmentarz wojenny – wkomponowany w cmentarz parafialny — kamiennie-żelazno-drewnianą budowlę, w dobrym stanie, dodatkowo odnawianą przez wojsko. Niedaleko znajduje się cerkiew – tym razem XIX-w; murowana, zwieńczona wieżyczkami w kształcie hełmów.

Kolejny dzień i kolejna wyprawa: na najwyższą w okolicy górę – Jaworzynę Konieczniańską. Żeby tam dotrzeć, musimy przejść całą długość doliny – aż do Przeł. Regetowskiej (przejście graniczne dla pieszych). Mimo kurzu i słońca (już od rana uparło się dać nam popalić), poryta wąwozami sezonowych potoczków, prawie cała odsłonięta, z zalesioną granicą na linii lasu, dolina jest urocza.

Gdzieniegdzie stoi jakiś dom (raczej tylko „willa letnia”, choć stylem przypomina wiejską zagrodę jednobudynkową z tych stron), jest i stary cmentarzyk przycerkiewny na wzgórzu, i nowa kapliczka na kolejnym cmentarzu, jest wijący się wśród łąk Regetowski Potoki; wreszcie las i granica (przekraczamy ją raczej umownie: czerwony szlak słowacki biegnie razem z naszym niebieskim, ale dzięki temu z Beskidka będziemy mogli zejść krótszą i wygodniejszą drogą do Koniecznej). Na razie jednak pniemy się w górę, po dość stromym, ale zalesionym zboczu.

Wreszcie szczyt, nieco zarośnięty, ale... trochę północnych okolic widać... potem stromeeeeee zejście na szeroką przełęcz oddzielającą Jaworzynę od Beskidka, małe podejście i... widać w lesie resztkę płotu okalającego cmentarz na Beskidku. Części imienne są dobrze zachowane – z wyjątkiem tablicy, którą ktoś wziął na pamiątkę, ale drewno prawie całe zmurszało, trzyma się jeszcze na monumentalnej wieży, widocznej nad drzewami nawet z dołu. Jest i Konieczna, przejście graniczne i... słonko, o którym w lesie zapomnieliśmy. Wobec „miłej” perspektywy smażenia się na szosie szukamy okazji. Cierpliwość zostaje nagrodzona - do Ługu podwozi nas Słowak jadący do... Rzgowa (oczywiście na targowisko). Stąd, przez znajomą Rotundę, częściowo trawersując jej zbocza wracamy do bazy.

Jutro Wysowa. Znowu spacer na przełęcz – teraz nie drogą, a łąkami, czasem przez las. Widoki na tym nie tracą nic ze swego uroku, może nawet zyskują... Krótkie podejście na Obicz poprzedza bardzo długą wędrówkę ku Przeł. Wysowskiej. Monotonną drogę przez las przerwał dopiero szlak, sprowadzający do cmentarza wojennego nr 49 (świeżo odnowione, drewniane krzyże, okolone płotem, wystają z gąszczy jeżyn) i dalej – do Blechnarki. Już przed nią wychodzimy z lasu. Widok na szeroką, zalaną słońcem dolinę, okoloną ciemnymi wzgórzami zakłóca jedynie słońce — naprawdę przypieka zbyt ostro. W poszukiwaniu cienia przystajemy przy co rusz to innym krzyżu czy kapliczce przydrożnej, by dłużej odpocząć w cieniu lip okalających murowaną cerkiew. Niestety, jest ona zamknięta, więc tylko oglądamy ją z zewnątrz. Kolejny przystanek to drewniana cerkiew w Wysowej – też wstęp do wnętrza zabroniony, przystanek przy basenie (wstęp bezpłatny) i wspinaczka na Kozie Żebro. Zejście zeń jest tak strome i wyslizgane, że właściwe byłoby zaopatrzenie się w sprzęt zimowy, np. popularne „jabłko” i zjechanie w dół. Jeszcze tylko wieczorne ognisko (znalazł się nawet grajek, choć nie chciał śpiewać) z kielbaskami – zostawione na jutro ich resztki w nocy znalazł pies...

Dziś kolej na ten wielki wał na północy. Ciekawe, co się za nim kryje? Jakby lekko chłodniej - w sam raz na daleką wyprawę. Na początku trochę „szosujemy”. To najkrótsza i najwygodniejsza droga do Skwirtnego. Rzut okiem na drewnianą XVIII-w. cerkiewkę tylko na zewnątrz, bo... i już podchodzimy przez wspaniałą łąkę na Banę. Ledwo kończy się ukwiecona łąka, a już mamy gotowy posiłek - cały czas, aż do zejścia do Smerekowca towarzyszą nam jeżyny, najdorodniejsze spośród dotąd spotkanych. Dochodzimy do Smerekowca, w bród pokonując niewielką rzeczka i... no właśnie! Znakarz się napracował, cała trasa pięknie odnowiona i... komu to przeszkadzało? Ten ktoś też się bardzo napracował - prawie półtora kilometra szliśmy ślicznie zamalowanymi znakami, za to wyraźną drogą przez łąkę. Droga weszła w gęsty las i... pracusiowi odechciało się malowania! Znowu mamy gęsto i czytelnie oznaczoną trasę. Przez malowniczą polanę nad Przysłopem przechodzimy szybko — słoneczko sobie o nas przypomniało i przypieka. Potem zagłębiamy się w las, spacerowym szlakiem do dwóch cmentarzy z I wojny. Oba są prawie niewidoczne w gęstym lesie, zniszczone, ale mimo to wyglądają malowniczo. Ze szczytu Magury Małastowskiej nic nie widać, więc nie zatrzymując się zmierzamy do schroniska. W nim kolejna niespodzianka – do picia tylko wysowianka (czyli to samo, co w naszych butelkach. A „Tymbark”?!). Schodzimy niżej — na przełęcz. Tu następny z cmentarzy wojennych - ten pięknie odnowiony, jak z obrazka, ale... chyba nieco mniej urokliwy. Teraz tylko pozostaje „szosowanie” (do Gładyszowa nie ma innej drogi).

Pora wreszcie wybrać się za granicę. Wszak jesteśmy blisko i przejście graniczne „pod nosem”. Wyruszamy na Przeł. Regetowską (znowu innym bezdrożem), skąd wygodny szlak prowadzi prosto do Regetovki. Tuż za przełęczą prawdziwe cudo natury – wspaniałe wąwozy, o prawie pionowych ścianach, a na dnie pot. Regetovka. Las szumi, owady brzęczą, słoneczko... nie znajduje drogi przez liście. Wreszcie wieść: dużo większa od Regetowa, jest tu hotel, sklep (czynny dwa razy w tygodniu) i cerkiew - murowana, po stylu od razu rozpoznać, że słowacka. Liczyliśmy na zakupy, autobus do niedalekiego Zborowa (zamek), a tu nic... Zawracamy z myślą o zwiedzeniu Cigelki (też na Słowacji, około 40 min od Wysowej). Z takim zamiarem podchodzimy na Obicz i schodzimy — najkrótszą drogą, bo niebieskim szlakiem Kozie Żebro, ze swoim pionowym zejściem długo na nas czekało, a jak

już tam wieczorem dotarliśmy, zafundowało nam niespodzianie lekki deszczyk i burzę, która zwałała drzewo tuż obok nas...

Piątek – dzień, który przewidzieliśmy na zwiedzanie cerkiewek (dziś święto, może będą otwarte?). Wyruszamy na objazd, z myślą, że z Bielicznej zrobimy sobie spacer na Lackową, a może nawet do Cigelki. Ha, cóż — plany sobie, a deszcz sobie. Na szczęście mamy parasole, a przy cerkwiach są ogromne parkingi... Ujście Gorlickie, Czarna, Śnietnica: z zewnątrz ładnie, do środka – drzwi strzegą, a deszczyk coraz mocniejszy. W Izbach rodzi się nadzieja: nie pada. Szkoda tylko, że ta murowana cerkiew zamknięta – chciałoby się ponownie obejrzeć piękny ikonostas. Do Bielicznej ruszamy pieszo. Teraz to miejsce nie wygląda na wymarłe - wykoszone łąki, droga w dobrym stanie, kapliczka po drodze, cerkiew odnowiona i... otwarta! Dalej jakaś chałupa. Jakże to inne, niż kilkanaście lat temu, gdy wędrując z siostrą, z ledwością znajdowałyśmy „ścieżkę”, czyli pas trawy i chwastów, nieco niższy od nas, bo rośliny obok ścieżki były wyższe... Deszcz leje! Rezygnujemy z wariantu ze zdobyciem Lackowej i ruszamy dalej: Banica (XVIII w., drewno, naprawdę jedna z piękniejszych), Brunary, Kwiatów (XVII w., drewniana perełka, najpiękniejsza z dotąd widzianych łemkowskich cerkwi, i do tego... otwarta! W środku fantastyczne malowidła na drewnie, tkaninie, wnętrze ustrojone polnymi kwiatami...). Potem jeszcze Zdynia i Konieczna: cerkwie i cmentarze wojenne. Choć i te cerkwie są niezwykle, po tej w Kwiatoniu już nie robią wrażenia.

Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Dziś trzeba wyruszyć w drogę powrotną. Ostatnie chwile wykorzystujemy na dalszą penetrację okolic Regetowa – udaje się znaleźć „nową” drogę do Wysowej – obok cmentarza nr 48, najpierw skrajem lasu, potem już wąwozem nienazwanego potoczku w górę, dół, górę... aż do niebieskiego szlaku... i wracamy. Wczesnym popołudniem wyruszamy. Jako że ciężko pożegnać góry, zbaczamy do Bartnego. Tu czekają na nas aż dwie cerkiewki i cmentarz wojenny, znacznie mniej ciekawy od zwiedzanych wcześniej (cóż, Hans Mayr nie projektował tak dobrze, jak Jurkovic...). Pobieżnie oglądamy nowszą z cerkwi i podziwiamy drewnianą XVIII-w. budowlę starszej tym ciekawszą, że wieżyczki są kolorowe (nie udaje się wejść do środka – opiekun miejsca dziś wyjechał). Na pocieszenie zostaje nam Biecz — ciekawe miasteczko katów, ale to już inna historia.

Tekst: *Marzena Wojnarowicz-Trojanowska*

Foto: *Krzysztof R. Mazurski*

BESKIDZKA PIĄTKA

Sporo jeszcze ludzi w Polsce czeka, aż im unijna manna spadnie z nieba wprost do kieszeni. Na szczęście, w piętnaście lat po polskiej transformacji powoli zmienia się sposób myślenia o własnej przyszłości. Widać to w wielu dziedzinach życia, ale chyba najbardziej w turystyce. Dobrym przykładem jest „Beskidzka Piątka”.

Wspólnie – łatwiej. „Beskidzka Piątka” to porozumienie pięciu miejscowości Beskidu Śląskiego: Brennej, Istebnej, Szczyrku, Ustronia i Wisły, w celu promowania walorów regionu w kraju i zagranicą, ułatwienie dostępu do informacji o regionie, a także do – i to już w niedalekiej przyszłości – podjęcia wspólnych inwestycji. Wszystkie miejscowości łączy malownicze położenie wśród łagodnych wzgórz poprzecinanych rzekami i potokami, pokrytych pięknym świerkowo-bukowymi lasami. Dysponują też one rozwiniętą bazą noclegową i gastronomiczną, wyróżniają się infrastrukturą sportową, topoklimat sprzyja leczeniu sanatoryjnemu i rehabilitacji.

Do niedawna obiegowa opinia głosiła, że rekreacyjne miejscowości Beskidu Śląskiego są turystyczną atrakcją tylko w zimie. Nic bardziej błędnego! Beskid Śląski jest atrakcyjny o każdej porze roku. Są tu znakomite warunki do uprawiania wszelkich form turystyki. Nie brakuje też atrakcji dla miłośników historii, sztuki i folkloru. Czekają na nich liczne zabytki i obiekty do zwiedzania, a także imprezy kulturalne i sportowe. Nie bez racji ks. Emanuel Grim pisał: „Gronie, nasze gronie/Śląska wy ozdobą/wśród was serce płonie/człek czuje się sobą”. Pora więc przedstawić poszczególnych uczestników porozumienia.

Brenna. Gmina Brenna leży w dolinie Brewnicy i jej dopływów. Tworzą ją trzy wsie: Brenna, Górki Wielkie i Górki Małe. Jej bezsprzecznym walorem są głębokie, malownicze doliny i wspaniałe widoki z wielu szczytów okalających Brenną. Bogata historia gminy pozostawiła po sobie liczne ślady w postaci zabytków. W Górkach Wielkich znajduje się jeden z najstarszych na Śląsku Cieszyńskim kościół Wszystkich Świętych. Historia parafii rozpoczyna się w 1447 r. Można tu również zobaczyć ruiny spalonego dworu oraz domek ogrodnika, w którym po 1956 r. żyła i tworzyła Zofia Kossak-Szczucka, wybitna polska pisarka i malarka.

Dzisiaj w domu znajduje się muzeum biograficzne jej imienia. Z kolei w Brennej znajdziemy zabytkowy kościół św. Jana Chrzciciela z końca XVIII w. Stanowi on bardzo charakterystyczny element architektoniczny wsi i ma wystrój barokowy i klasycystyczny. Zachowało się tu również kilkanaście zabytkowych góralskich chat, przeważnie z XVIII i XIX w. Co ciekawe, nie są one skupione w jednym miejscu, a spotyka się je pojedynczo w różnych częściach wsi. Jedna z nich, zbudowana na początku XX w., mieści dzisiaj Gminny Ośrodek Kultury. Ponadto w chacie znajduje się izba regionalna ze stałą ekspozycją sprzętów pasterskich, strojów i innych drobiazgów potrzebnych kiedyś tutejszej ludności do życia wśród gór.

Istebna. Wyróżnia się tym, że leży na granicy trzech krajów – Polski, Czech i Słowacji. Graniczne słupy noszą nazwę „trójstyku”. Na gminę składają się trzy góralskie miejscowości: Istebna, Jaworzynka i Koniaków – „beskidzka trójwieś”. Najwyższym wzniesieniem jest góra Ochodzita (895 m). Z jej szczytu można oglądać piękne widoki Beskidu Śląskiego i Żywieckiego, Czechy i Słowację. Przy dobrej widoczności widać Tatry i Małą Fatrę. Dzięki unikatowym walorom krajobrazowych, bogatej, żywej kulturze, region zalicza się do najatrakcyjniejszych w Polsce. Przez gminę przebiega granica europejskiego działu wód. Rzeka Czadeczka należy do zlewiska Morza Czarnego, zaś północna część z Roztoką i Olzą zalicza się do zlewiska Bałtyku.

W prawie co drugim domu rzeźbią, malują, haftują, wyrabiają misterne koronki i ludowe instrumenty muzyczne. Któż zresztą nie słyszał o koniakowskich koronkach? Zna je już cały świat, a ostatnim przebojem eksportowym stały się... koronkowe stringi dla pań i panów. Będąc w gminie Istebna trzeba obowiązkowo odwiedzić Muzeum „Na Grapie”, warsztat malarza i grafika Jana Wałacha, chatę w Szańcach (mieszczącą galerię), galerię rodziny Konarzewskich i izbę twórczości rodziny Łupieżowicz, Muzeum Świerka Istebniańskiego, Ośrodek Edukacji Ekologicznej, izbę pamięci jednego z największych polskich himalaistów – Jerzego Kukuczki, pracownię malarstwa artystycznego i metaloplastyki Antoniego Ćwieka, izbę pamięci kamieniarza Kubaszczyka, izbę pamięci Marii Gwarek (Muzeum Koronki) oraz regionalne muzeum „Chata Kawuloka”.

Szczyrk. To najbardziej znana miejscowość wśród polonijnych sportowców. To właśnie tu odbywają się przecież Polonijne Igrzyska Zimowe. Szczyrk usadowił się w wąskiej dolinie Żylicy, między Klimczokiem (1117 m) a Skrzycznem (1257 m). Swą turystyczną karierę zaczął już w latach 20. ub. w., kiedy to w Bielsku-Białej nastąpił gwałtowny rozwój przemysłu. Bogaci fabrykanci, zazwyczaj Niemcy i Żydzi, budowali w Szczyрку pierwsze pensjonaty, doceniając w ten sposób położenie tej miejscowości i jej klimat. Szczyrk stał się wypoczynkową bazą dla Bielska, a w okresie powojennym – dla Śląska i całej Polski. Powstały wówczas narciarskie trasy (ponad 60 km), wyciąg krzeselkowy na Skrzyczne, wyciągi orczykowe (jest ich dzisiaj 32) i cztery skocznie narciarskie. Ale uprawiać tu można niemal wszystkie dyscypliny sportowe, bowiem baza jest wyjątkowo bogata (dodam, że w Szczyрку jest ośrodek przygotowań olimpijskich).

Niemniej bogata jest folklorystyczna oferta. Tradycyjnie na przełomie lipca i sierpnia odbywa się tutaj Tydzień Kultury Beskidzkiej. Turystów może zainteresować także Galeria Sztuki Beskidzkiej, w której obok dzieł najwybitniejszych polskich artystów współczesnych (m.in. obrazy Jerzego Dudy-Gracza), uwagę przyciąga sztuka ludowych twórców i artystów amatorów. Z kolei dla miłośników historii gratką będzie zapewne wizyta w ponad 200-letnim drewnianym kościele św. Jakuba Apostoła, a także w Sanktuarium Maryjnym „Na Górcie” wraz z cudownym źródłem, dwóch XIX-wiecznych kaplic i przydrożnych figur. Największą przyjemność sprawi im jednak poszukiwanie na stokach okolicznych gór starych drewnianych chałup i szop lub śladów po nich oraz pomników przyrody, takich jak: Malinowska Skała, Grota Klimczoka, Jaskinia „Lodowa” czy też ruiny „Diabelskiego Młyna”.

Ustroń. Jest miastem uzdrowiskowo-wczasowym, leżącym w dolinie Wisły u stóp Czantorii i Równicy. Już w XVII w. znano go z kuracji serwatkowych, którymi leczono choroby przewodu pokarmowego i anemie. W XIX w. odkryto źródła wody żelazistej i pokłady borowiny. Stąd w 1882 r. Rząd Krajowy w Opawie zatwierdził Ustroń jako austriackie uzdrowisko. W 1956 r. otrzymał prawa miejskie, a w 1967 r. – prawa uzdrowiska. Korzysta z nich w pełni do dziś.

Wyjątkową popularnością wśród turystów cieszy się linowo-krzeselkowa kolej i... letni tor saneczkowy na Czantorii. Ze szczytu roztaczają się piękne widoki. Podobnie - z Równicy. Ciekawa jest wycieczka do źródeł Karola i Żelazistego po dobrą wodę, a także wypad do Leśnego Parku Niespodzianek na Zawodziu, gdzie warto odwiedzić stację ptaków drapieżnych. Dodatkowo polecam wizytę w Muzeum Ustrońskim im. Jana Jarockiego, gdzie poznamy historię miasta, w Muzeum Regionalnym „Stara Zagroda”, w zabytkowym drewnianym kościółku św. Anny z 1765 r. w Ustroniu Nierodzimiu, w kościele ewangelicko-augsburskim pw. Apostoła Jakuba z 1835 r., w rzymskokatolickim kościele św. Klemensa z 1788 r. oraz „Dąb Sobieskiego”, upamiętniający przemarsz wojsk Jana III pod Wiedeń.

Wisła. Najlepszą rekomendacją miejscowości jest... Adam Małysz, który tu się urodził i ma dom. Ale warto też wiedzieć, że właśnie stąd ze źródeł na Baraniej Górze wypływają potoki Czarnej i Białej Wiselki, które po połączeniu się i przejęciu wód potoku Malinka tworzą największą polską rzekę – Wisłę. Mimo że Wisła była najmłodszą osadą Śląska Cieszyńskiego, ma bogatą historię. Wieś „na Wisłach rzeczona”, jak ją pierwotnie nazywano, założyła w 1643 r. Elżbieta Lukrecja, ostatnia księżna cieszyńska z linii Piastów. Wkrótce Wisła stała się największą pasterską wsią w regionie. Powoli zaczęli się nią interesować ludzie kultury i nauki. Szczególne zasługi w popularyzowaniu miejscowości jako uzdrowiska ma Bogumił Hoff, uznany za jej odkrywcę.

Ślady historii możemy spotkać w izbach Muzeum Beskidzkiego i w enklawie starego budownictwa, gdzie w drewnianym budynku „U Niedźwiedzia” znajduje się Galeria Grupy Twórców Wiślanie. Na szlaku wiślańskich zabytków spotkamy też ewangelicki kościół z 1838 r., myśliwski zameczek Habsburgów z 1897 r. (dziś siedziba PTTK), katolicki kościół z 1855 r., drewniane wille przy ul. Ks. Bpa J. Burschego.

Lucyna Pońc

DRUGA PRZECHADZKA NA HEL DZIENNIK WYPRAWY

10. czerwca

Wyruszamy z Krakowa w mocno zredukowanym składzie – dwie osoby zamiast pięciu. Agnieszka („drugą”) „zalała”, musiała więc zrezygnować (razem z „drugim” Kubą), a „pierwsza” Agnieszka wycofała się mając w perspektywie samotny powrót do Krakowa (cała trójka zamierzała iść z nami tylko przez weekend). Jestem zatem w przedziale tylko z Michałem, dziewczyny zafundowały nam dodatkowe trzy miejsca do dyspozycji (w pociągu obowiązuje rezerwacja). We Wrocławiu, na korytarzu wagonu pojawia się kilka osób bez miejscówek. Zapraszamy do nas, nie chcemy, by nasze miejsca „wiozły się” puste, gdy obok stoją ludzie. Niestety, jeden z zaproszonych koszmarnie chrapie. Cóż, pięć osób nie śpi, by spać mógł jeden ktoś. Śpi mocno, nie budzą go nawet kontrole, bo chrapie na jednym z naszych miejsc, więc nie musi pokazywać biletu.

11. czerwca



Tuż przed godz. 9 jesteśmy w Świnoujściu. Idziemy w stronę morza. Po drodze okazuje się, że ulica, którą szedłem we wrześniu, jest zamknięta. Wybieramy inną drogę. Punktualnie o godz. 10 wychodzimy nad Bałtyk, Druga Przechadzka rozpoczyna się „oficjalnie”. Ludzi na plaży widać wyraźnie więcej niż jesienią, a pogoda jest „trudniejsza” – w słońcu gorąco (zdejmujemy koszule), pod chmurami zimno i wietrznie (ubieramy polary). O godz. 13 jesteśmy w Międzyzdrojach – molo, Aleja Gwiazd, nie spieszy nam się, powoli wędrujemy przez kurort. Nad morzem tłum, lecz – jak zwykle, tuż za miastem robi się pusto. Wchodzimy na fantastyczny etap – wąska, kamienista plaża u podnóża imponującego klifu.

Kolejny „wianuszek” wczasowiczów anonsuje Wiselkę, metę pierwszego etapu. We wrześniu nocowałem tu na plaży, więc jest to jedyna nieznaną mi miejscowość na trasie Przechadzki.

Kwaterę znajdujemy natychmiast. Idziemy do sklepu, nagle napada mnie atak mdłości. Z trudem wracam do domu. Czuję się coraz gorzej, wymiotuję. Nie wiem, co będzie dalej. Czy jutro uda mi się ruszyć dalej? Czy to tylko zatrucie, czy coś poważniejszego? Witek obiecał nam codzienne SMSowe komunikaty o pogodzie. Dzisiaj, poza pierwszymi informacjami, napisał: *moja siostra jest na wakacjach w Wiselce, widziała dwóch turystów z plecakami i kijkami, którzy przyszli od strony Świnoujścia, jeżeli przy zejściu zauważyliście dziewczynę z wózkiem, to ona. Zauważyliśmy!* Przyszedł też SMS od Danusi, do środy będzie w Poddąbiu (przygotowuje pensjonat do otwarcia na sezon). Niestety, nie spotkamy się, gdyż zamierzamy dotrzeć tam dopiero za tydzień.

12. czerwca. Czuję się dobrze, więc ruszamy – zamiast wracać, pauzować lub podjechać, jak myślałem wczoraj. Do Międzywodzia idziemy plażą, mamy szczęście, bo już drugi dzień silny wiatr wieje nam w plecy. Chmury groźnie suną po niebie, lecz nie pada. Tuż przed jedenastą jesteśmy we wsi, w południe będzie msza (jest niedziela) – czekamy. Ruszamy dalej o 13, półtorej godziny później mijamy most na Dziwnej i schodzimy nad Bałtyk. Plażą idziemy tylko do Dziwnówka. Zaczyna kropić, więc wchodzimy do wsi; krótka, gwałtowna ulewa zastaje nas akurat w sklepie. Dalej wędrujemy szlakiem leśnym, zatrzymując się na znajomej ławce w Łukęcinie. Chwilę przed godz. 18 jesteśmy w Pobierowie, zakupy i idziemy na moją wrześniową kwaterę. Pukam, gospodyni staje w drzwiach i... „to pan” – słyszę na powitanie – „znowu pan wędruje?” Nie wierzę własnym uszom, nie przypuszczałem, że może mnie pamiętać. Nadal czuję się dobrze, natomiast martwię się o Michała, który ma już kilka bolesnych pęcherzy. Mam nadzieję, że nie zepsują mu przyjemności wędrowania.

13. czerwca. Wbrew prognozom przekazanym nam przez Witka poranek jest pogodny, a morze wyjątkowo spokojne, chociaż wieje dość silny wiatr. W Trzęsaczu schodzimy z plaży, idziemy pod ruiny i dalej znajomą ścieżką wiodącą efektownie tuż przy krawędzi klifu. Przechodzimy przez Rewal, Niechorze i Pogorzelicę, coraz wyraźniej czując nadchodzący sezon. Wracamy nad Bałtyk. Idzie się doskonale, bo po deszczu i sztormie piasek jest świetnie ubity nie tylko w wąskim pasie przyboju. Niestety, Michał nie może beztrudnie cieszyć się tym komfortem, bąble na stopach dokuczają mu coraz bardziej. Przez dobre dwie godziny nie spotykamy nikogo, a plaża jest pusta po horyzont. Korzystam z okazji, i – by nie wzbudzać sensacji, wypróbuję tu kijki turystyczne. Na plaży też okazują się bardzo skuteczne, więc na następnych etapach, w razie potrzeby zamierzam korzystać z nich, nie bacząc na ewentualne reakcje plażowiczów. Przyspieszamy tempo marszu, bo za plecami zaczyna grzmieć, zbierają się i gonią nas coraz ciemniejsze chmury. Równie ze „ścianą” deszczu wpadamy do pierwszego z brzegu domu z napisem „pokoje do wynajęcia”. Za oknem szaleje burza. Dzwoni Krysia, zamierza dołączyć jutro – w Kołobrzegu. Tam też, niestety, planuje wycofać się Michał. Przykro mi, lecz rozumiem tę decyzję. Przechadzka ma być nade wszystko przyjemnością, a Michał ma tyle bąbli, że każdy krok sprawia mu ból. Po burzy szybko pojawia się słońce. Wychodzimy więc i my – idziemy do znajomej knajpki „U Rybaka”. O dziwo, tu też zostają rozpoznani, a mintaj jest równie pyszny, jak poprzednio.

14. czerwca. Żegnamy się z Michałem w Mrzeżynie. On wsiada w autobus do Kołobrzegu, ja tam idę. Najpierw do Dźwirzyna brzegiem – na plaży nie ma nikogo, świeci słońce, wieje wiatr, niebo jest bezchmurne, bajka. Dalej wędruję szlakiem leśnym. W Kołobrzegu jestem w samo południe. Mija pięć minut, gdy przychodzi Krysia. Niestety, jej podróż nocnym pociągami nie była udana. Próbowwała czuwać, lecz nad ranem zdrzemnęła się chwilę. Wystarczyło, by straciła buty turystyczne. Zostały jej adidas – wygodne, lecz przemakające. Całe szczęście, że przygoda nie skończyła się gorzej.

Ruszamy promenadą, później znajomą ścieżką rowerową poprowadzoną po szlaku dla pieszych i zabezpieczoną przed turystami kompletem znaków „pieszym wstęp wzbroniony”... Paranoja. Ścieżka kończy się w Podczelu, gdzie szlak wytyczony jest znakami namalowanymi na ruchomych koszach, więc niewiele trzeba, aby zmienić jego przebieg. Pierwsza wspólna przerwa na słonecznej ławce



w Podczelu i wędrujemy dalej – tym razem po pasie startowym z napisem „wejście na płytę wzbronioną” umieszczonym obok oznakowania szlaku. Omijamy „Bałtyckie Centrum Turystyczne Przejścia Nie Ma” i wchodzimy do miejscowości Sianożęty. Jak przystało na zdyscyplinowanych turystów, „trzymamy się” szlaku, który według mapy ma prowadzić do nadmorskiej promenady. W efekcie znowu „lądujemy” kilkaset metrów w głębi lądu, bo przebieg szlaku w terenie nie zgadza się z mapą. Idziemy asfaltem do Ustronia Morskiego. Szukamy kwatery. Pierwsze podejście jest chybione – brak wolnych miejsc, drugie też – pokoje nie mają łazienek, a gości jest wielu, więc dostęp do sanitariatów może okazać się trudny. Bezbłędnie trafiamy za trzecim razem. Gospodyni jest wprawdzie na pogodnym rauszu, lecz pozwala targować się (płacimy po 25 zł zamiast wywoławczych 30 zł) i kaprysić (cichy pokój na końcu korytarza, zamiast lokum przy samym wejściu). Doszliśmy dzisiaj dalej niż zamierzałem, więc jutro mamy krótszy etap w perspektywie.

15. czerwca. Do Sarbinowa idziemy plażą. Wieje, huczy, chmurzy się groźnie, lecz nie pada. W Gąskach spotykamy „długodystansowców” – wystartowali wczoraj z Kołobrzegu z zamiarem dojścia do... soboty. Nie wyznaczyli sobie konkretnego punktu mety, lecz czas trwania wycieczki. W Chłopach pojawia się słońce i towarzyszy nam już do końca etapu w Unieściu. A zapowiadano na dzisiaj deszcz i burze – bardzo odpowiadają mi takie niesprawdzające się prognozy. Idziemy na „wrześniową” kwaterę, gospodyni rozpoznaje mnie natychmiast. Wtedy już nie wynajmowała – po sezonie, teraz jeszcze nie wynajmuje – przed sezonem. I podobnie jak poprzednio, mimo wszystko przyjmuje nas. Byliśmy jej ostatnimi gośćmi na zakończenie sezonu 2004, jesteśmy pierwszymi w sezonie 2005. Płacimy po 10 zł od osoby. Dzwonię do leśniczówki w Orzechowie, aby zapytać o nocleg. W ośrodku wypoczynkowym wszystkie miejsca są już bowiem zarezerwowane, a innych zabudowań tam nie ma. Słyszę komunikat „abonent jest chwilowo niedostępny”, lecz nie mija nawet minuta, gdy leśniczy oddzwania i obiecuje nas przenocować.

Cdn.

Kuba Terakowski

ŚLADAMI KOP-U I STAROWIERÓW

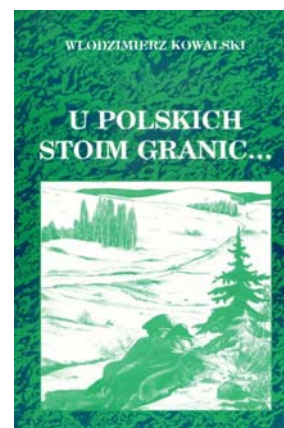
Wstęp

Z plecakiem i chlebakiem przewędrowałem Polskę wzdłuż i wszerz. Mazury i Suwalszczyznę poznałem po wysłuchaniu opowieści mego teścia, który w latach 1925-1927 wyjechał „za chlebem” do Niemiec, a w latach 1928-1931 do Liège w Belgii. Służbę wojskową w latach 1931-1932 pełnił w Korpusie Ochrony Pogranicza (KOP) w Sejnach. Patrolowali wówczas na szczydłach zaorany pas graniczny, by nie zostawiać śladów, a granicę wytyczały drewniane tyczki zakończone wiechami ze słomy. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany do pułku łódzkiego. Po uderzeniach 8 i 10 armii niemieckiej załamała się ostatecznie armia „Łódź”. Wraz z kolegami i licznymi niedobitkami przebijali się do Warszawy, lecz ze względu na przeludnienie miasta skierowano ich na wschód. Przeszli rzekę Bóg kierując się na Kowel, a stąd na Włodzimierz. Tam zostali internowani przez władze radzieckie. Po kilkunastu dniach zostali skierowani do domów. Wracali pieszo ukrywając się po zagajnikach, a zaopatrzwszy się w łopaty i motyki udawali robotników rolnych idących do pracy. Z Włodzimierza do Osieka nad Prosną koło Wielunia teść szedł siedem tygodni. Po wojnie, za 40 lat pracy na swojej roli, PRL przyznała mu emeryturę niższą od tej, którą zaproponowała Belgia za trzy lata pracy! Wybrał belgijską.

Piętnaście lat po moich wędrowkach zorganizowałem wystawę o Wilnie w Klubie Oddziału Wrocławskiego PTTK, połączoną z promocją publikacji Włodzimierza Kowalskiego „U POLSKICH STOIM GRANIC...”. Od autora



dostałem w prezencie książkę wraz z dedykacją: „Drogiemu Wilniukowi, zięciowi żołnierza KOP Stanisława Małysa – Andrzejowi Rumińskiemu z prośbą o przyjęcie autor W. Kowalski Wrocław, 30.09.99”. Książkę autor poświęcił „Żołnierzom 24. Baonu Korpusu Ochrony Pogranicza „Sejny” – poległym, pomordowanym, zmarłym i żywym”.



Starowierzy (starowiercy, staroobrzędowcy, raskolnicy)

Podczas moich pieszych wędrówek i rajdów rowerowych po drogach i bezdrożach Mazur i Suwalszczyzny zetknąłem się ze swoistym fenomenem religijno-kulturowym, jakim są staroobrzędowcy. Różnie jeszcze się ich nazywa: a to starowiercami, a to filiponami (zwłaszcza na Mazurach), a to raskolnikami. W każdym z przypadków chodzi o potomków rosyjskich uchodźców religijnych, zmuszonych do opuszczenia Rosji po przeprowadzonej w XVII w. przez ówczesnego patriarchę rosyjskiej Cerkwi prawosławnej Nikona korekcie ksiąg liturgicznych i rytuałów kościelnych. Przewidywane zmiany obejmowały m.in. rewizję tłumaczenia Biblii w kierunku większej zgodności z oryginałem greckim oraz użycie trzech palców, a nie – jak dotąd – dwóch, przy wykonywaniu znaku krzyża. Staroobrzędowcy postrzegali te zmiany jako herezje, zwiastujące koniec świata. W opozycji przeciwko Nikonowi powstał Kościół starowierów. Prześladowani starowierzy chronili się w tajgach Syberii i na pustkowiach Azji Środkowej. Część staroobrzędowców uznała, iż Bóg pozbawił ich całkowicie kapłanów oraz sakramentów – w powyższej sytuacji za drogę do oczyszczenia oraz powrotu do Boga uznawano niekiedy samospalenie. Wierni zamykali się w cerkwiach z całymi rodzinami oraz ze starymi księgami liturgicznymi, po czym podkładano ogień. Pierwszymi więźniami na Syberii byli wygnani z Centralnej Rosji starowiercy po rozłamie prawosławnej Cerkwi. Przez Krasnojarsk prowadził szlak katorżniczy, zwany traktem moskiewskim, ciągnący się tysiące kilometrów od Moskwy do Dalekiego Wschodu. W tym okresie kolejnymi zesłańcami byli dekabryści i uczestnicy polskich powstań narodowych. Krasnojarsk był również miejscem zsyłek marksistów i socjalistów, a w pierwszej połowie XX w. – jednym z centrów sowieckich GUŁAG-ów (Krasłag). Wówczas w rejonie tym było kilkakrotnie więcej więźniów niż średnio w całej Rosji.

Fot. Molenna Gabowe Grądy.

Staroobrzędowcy w celu uniknięcia rosyjskich prześladowań schronili się w Polsce, na Suwalszczyźnie. Najpierw w 1778 r. w dolinie Szeszupy założyli i zasiedlili wieś Wodziłki, a jednaście lat później wieś Łopuchowo. Zamieszkują te tereny aż do dziś, kultywując stare obrzędy, wiarę i mowę. Budynki we wsi są w większości drewniane, a najstarsze z nich pochodzą z około 1820 r. Aktualnie żyje w Polsce około 3000 staroobrzędowców. Starowierców można również spotkać w Wojnowie, Sejnach, Suwałkach i Augustowie. Aktualnie możemy obejrzeć trzy czynne molenny (cerkwie): Gabowe Grądy, Suwałki i Wodziłki. Molennę w Wodziłkach (najstarsza na Suwalszczyźnie) datuje się na 1863 r. Wieżę z dzwonnica dobudowano w 1928 r. Molenna ta jest drewnianą konstrukcją w kolorze szaroniebieskim. Budynek składa się z przedsionka, nawy głównej i miejsca zwanego „świataja świątych”. Wnętrze jest wyjątkowo skromne: kilkanaście starych ksiąg, ikon oraz kilka krzyży.



Kościół starowierów są również na Litwie, Ukrainie i Białorusi, Rumunii, Bułgarii, Turcji, Finlandii, Niemczech, USA, Kanadzie, Australii, Brazylii. W latach 80. XX w. natrafiono na jedną z ich wspólnot, nie mającą pojęcia o elektryczności, Leninie i w ogóle rewolucji bolszewickiej. Staroobrzędowcy, starowiercy, filiponi przynieśli do Polski małe kawałki starej Rosji. Obce, ale piękne i urzekające swą egzotyką są ich ślady. Dwudziesty wiek oszczędził im zbiorowej tragedii na miarę holocaustu, czy akcji „Wisła”... A jednak ich los wydaje się być przesądzony – jak los Łużyczan czy pruskich Litwinów. Kiedyś pewnie znikną jako grupa, roztopiając się w otaczającej ich większości. Ale na razie jeszcze są – wyruszymy więc razem ich śladami... W Polsce wyróżniamy dwa główne skupiska starowierców: suwalsko-augustowskie i mazurskie. Na Suwalszczyźnie głównym centrum są Suwałki, z prężnie działającą gminą wyznaniową. Miasto to jest jednocześnie siedzibą Naczelnej Rady Staroobrzędowców, centralnego organu tej grupy religijnej. Starowiercy mieszkają poza tym we wsiach położonych w okolicach Suwałk: Wodziłkach, Płocicznie, Szurach, Czerwonym Folwarku, na Sejneńszczyźnie: w samych Sejnach, Budzie Ruskiej, Hołnach Wolmera, Sztabinkach, Głuszynie i wielu innych mniejszych miejscowościach.

W Augustowskim wielu staroobrzędowców mieszka w samym Augustowie oraz w niedaleko położonych wsiach: Bór oraz Gabowe Grądy. Ta ostatnia wieś uchodzi za najbardziej „starowerską” miejscowość w Polsce: tu najlepiej zachowały się dawne zwyczaje, język i świadomość korzeni. Dobrze działająca gmina wyznaniowa, solidarność i powszechna znajomość języka rosyjskiego sprawia, że Gabowe Grądy zachowały w większym stopniu niż inne, pierwotnie rosyjskie wsie, swe własne, niepowtarzalne oblicze. Wieś ta szczyci się posiadaniem jedynej w kraju grupy wokalnej, śpiewającej stare rosyjskie pieśni. Mowa tu o zespole „Riabina”, z powodzeniem występującym na wielu festiwalach folklorystycznych i znanym już dobrze wielu miłośnikom muzyki etnicznej.

Drugim historycznym terenem, na którym mieszkają staroobrzędowcy, są okolice Rucianego-Nidy na Mazurach. Są to wsie przez nich niegdyś założone, jak Gałkowo, Onufryjewe, Piaski, Śwignajno, Osiniak czy przede wszystkim Wojnowo – ongiś centrum tej grupy, z czynną po dziś dzień molenną i jedynym w świecie żeńskim klasztorem staroobrzędowym, jeszcze zamieszkałym przez dwie starsze mniszki. Niestety, dni istnienia wspólnoty wyznawców „starej wiary” w tym regionie wydają się być już policzone. Ta niegdyś prężna społeczność, w XIX w. jedno z centrów starowierstwa w skali światowej, powoli, acz systematycznie zanika. Stosunkowo liczna jeszcze w latach 60. XX w., uległa zdziesiątkowaniu w latach 70. i 80. na skutek nie tyle procesów asymilacyjnych, ile masowych wyjazdów do Niemiec. Był to los, który staroobrzędowcy, zwani tu filiponami, podzielili z miejscową, ewangelicką ludnością mazurską. Z niemal tysiącosobowej rzeszy pozostała niewiele ponad setka wyznawców, z tego zaledwie kilkanaście, głównie starszych wiekiem kobiet, kultywujących dawne zwyczaje i praktykujących jeszcze swą religię. I jedynie w okresie prawosławnej Wielkanocy i w sezonie letnim spotykamy w wojnowskiej molennie więcej wiernych. Są to ci, którzy przyjeżdżają tu



autami z głównie hamburską czy berlińską rejestracją. Ale oni, jakkolwiek przywiązani jeszcze do wiary przodków, są tu już tylko gośćmi... O staroobrzędowcach napisano już dość wiele, aczkolwiek większość w językach obcych. Ale i w jęz. polskim istnieją już opracowania, jakkolwiek niezbyt liczne, to odznaczające się rzetelnością, wysokim poziomem naukowym, jak również – co uderzające, bardzo życzliwym, ciepłym stosunkiem autorów do starowierców. Podstawową pracą o staroobrzędowcach jest rozprawa łódzkiego prof. Eugeniusza Iwańca *Z dziejów staroobrzędowców na ziemiach polskich XVII-XX w.*, Warszawa 1977. Następną jest *Żywot protopopa Awwakuma przez niego samego nakreślony* i wybór innych pism w przekładzie i opracowaniu Wiktora Jakubowskiego, Warszawa – Wrocław 1972, zawierający przedmowę i przypisy nt. staroobrzędowia, będące prawdziwą kopalnią wiadomości.

Fot. Molenna w Wodzikach.

Awwakum Pietrowicz Kondratjew (1620-82) to święty, męczennik i wyznawca, protopop świątyni w Jurjewie Powońskim, uczestnik działalności Kółka obrońców dawnych cnót kościelnych, ideolog staroobrzędowia, pisarz. Urodził się w rodzinie popa. Działalność Awwakuma do czasu rozłamu skierowana była na naprawę życia cerkiewnego. Od początku reformy stał się obrońcą staroruskiej formy kultu, a co za tym idzie, ideologiem staroobrzędowia. Za niepodporządkowanie się oficjalnej Cerkwii wielokrotnie zsyłano go do odległych klasztorów i osad. W czasie swego ostatniego uwięzienia w Pustoziersku napisał około czterdziestu dzieł. Autor pierwszej autobiografii w jęz. rosyjskim, *Żywota*, napisanego przebogatym, jędrnym językiem. Na polecenie patriarchy Joachima spalony został wraz z towarzyszami na stosie w Wielki Piątek, 14.04.1682 r. W 1916 r. kanonizowany przez popowców hierarchii białokrynickiej.

Staroobrzędowcom mazurskim poświęciła ciekawy artykuł znana działaczka mazurska Emilia Sukertowa-Biedrawina pt. *Filiponi na ziemi mazurskiej (Komunikaty Mazursko-Warmińskie 1961 nr 1)*. Bardziej specjalistyczny charakter mają opracowania poświęcone językowi używanemu przez staroobrzędowców, ale zawierają one również mnóstwo cennego materiału historycznego:

I. Grek-Pabisowa: *Staroobrzędowcy: szkice z historii, języka, obyczajów; wybór prac z okazji 45-lecia pracy naukowej*, Warszawa 1999; I. Grek-Pabisowa, I. Maryniakowa, R. Morris: *Skupiska staroobrzędowców w Europie, Azji i Ameryce. Ich miejsce i tradycje we współczesnym świecie*, Warszawa 1999; A. Zielińska: *Wielojęzyczność staroobrzędowców mieszkających w Polsce*, Warszawa 1996.

Zoja Jaroszewicz-Pieresławcew w *Staroobrzędowcy w Polsce i ich księgi* (Olsztyn 1995) pisze: „W regionie suwalsko-sejneńskim w 1990 r. zamieszkiwało 369 staroobrzędowców, z czego 190 w Suwałkach, a pozostali w 20 miejscowościach województwa suwalskiego. (...) Czynne są dwie molenny (w Suwałkach i Wodзилkach), obsługiwane przez jednego nastawnika: Fiedosieja Łazarewicz Nowiczenkę. Na wspólne cotygodniowe nabożeństwa w molennie w Suwałkach w soboty o 17.00 i niedziele o 7.00 przyjeżdża ok. 20-30 ludzi. Tylko w „wielkie święta”, jak Wielkanoc i Boże Narodzenie, największa z działających w Polsce świątyni staroobrzędowych zapełnia się w całości. Do wspólnych modlitw w suwalskiej świątyni dopuszcza się staroobrzędowców, pozostających w związkach małżeńskich z katolikami i prawosławnymi-nikonianami, jak też z niewierzącymi.

Podstawą tego dopuszczenia są ostatnie postanowienia Soboru Staroobrzędowej Cerkwii Pomorskiej (1988). Brak dostatecznej ilości ksiąg, wykształconych chórzystów i lektorów prowadzi do redukcji cyklu nabożeństw kościelnych do niezbędnego minimum.

I tak np. w niedzielę 10 sierpnia 1992 roku, nastawnik korzystając z „Ustawy służby cerkiewnej na dni niedzielne i świąteczne roku 1992” zamieszczonym w „Kalendarzu cerkiewnym na rok 1992” i „Ustawy służby cerkiewnej na 1992 r. pod redakcją nastawnika – ojca duchownego Andrieja Żyłko”, odprawiał tylko nieszpory w sobotę wieczorem oraz „czasy” w niedzielę rano. Starowiercy ziemi suwalsko-sejneńskiej bardzo pieczołowicie trzymają się tradycji religijnych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, jakkolwiek z upływem czasu ich zasady religijne tracą na surowości. I tak, na przykład chrzest, będący dla nich najważniejszym z sakramentów, winien być dokonany w ciągu 40 dni od dnia narodzin. Lecz teraz często jest to uzależnione od decyzji rodziców i od zdrowia dziecka. Bywa i tak, że w wyjątkowych wypadkach chrzci się i jednoroczne dzieci. W czasach obecnych fakt ochrzcenia dziecka rejestruje się w księdze parafialnej. Dziecku nadawano imię świętego, figurującego w kalendarzu w dniu urodzin, następnie można było wybrać imię świętego z ośmiodniowego okresu, w którym urodziło się dziecko.

Teraz młodzi rodzice nie trzymają się tej zasady. Kiedyś chrzest odbywał się w otwartych zbiornikach wodnych (jeziorach bądź rzekach). W czasach dzisiejszych obrzęd ten ma miejsce w molennie przy użyciu secjalnej beczki-chrzcielnicy (regionalna jej nazwa to kupielnik). Naczynie to ma wysokość 1 m i szerokość 80 cm. Na jego brzegach stawia się trzy świece. Chrztu dokonuje się w niedzielę i tylko w wyjątkowych przypadkach, gdy dziecko jest chore, można dokonać go w inne dni tygodnia. Obrzęd chrztu pomimo zauważalnego odejścia od tradycji nie uległ zmianom. W trakcie nabożeństwa nastawnik używa „Potriebnika”, wydrukowanego w Chrześcijańskiej Drukarni przy Cmentarzu Priebrażeńskim w Moskwie w 1916 r. Przeznaczony jest on dla staroobrzędowców-bezpopowców. Kolejność elementów obrzędu drobiazgowo opisał E. Iwaniec. „Jeden z ważniejszych obrzędów chrześcijańskich: kościelny pogrzeb zmarłych i wspominki jego duszy odprawia się tylko w przypadku tych zmarłych, którzy przestrzegali zasad wiary staroprawosławnej. Nastawnik gminy suwalskiej czyta modlitwy w domu zmarłego, w molennie i na cmentarzu z księgi „Pogrzeb zmarłych świeckich i łodzieńców...” wydrukowanego w 1917 r. w Chrześcijańskiej Drukarni przy Cmentarzu Priebrażeńskim w Moskwie. Rodzina zmarłego przytwierdza do kupionej trumny krzyż staroobrzędowy. Jeszcze do lat siedemdziesiątych niektórzy staroobrzędowcy wyrabiali trumny z nielakierowanego drewna. Zmarłego mężczyznę odziewa się w chałat z czarnej (a nie białej jak w Wojnowie) tkaniny, podobnej do stroju nastawnika („połuakftanije”). Chałat ten ubiera się na białą koszulę – kosworotkę z barwnym haftem, zapinaną na lewą stronę i białe długie spodnie – „kalesony”. Szyje się także specjalne obuwie w formie kapci. Kobiety chowa się w sarafanie. W rękę zmarłemu, kładzionemu na białym prześcieradle, wkłada się lestonkę, a na głowę nakłada opaskę z trzykrotnym napisem: Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami. Nieboszczyka przykrywa się białym sawanem. Wieczorem w domu zmarłego zbierają się krewni i znajomi. Nastawnik i lektorzy całą noc czytają psalmy i część Apostoła, przeznaczone na tę okoliczność. W przerwach między czytaniem zebrani śpiewają pieśni pogrzebowe.

W dniu pogrzebu wierni zbierają się przy trumnie, a bliscy całują zmarłego na pożegnanie. Nabożeństwo w molennie odbywa się zwykle rano w dniu pochówku. Przebieg tego nabożeństwa nie różni się od pozostałych, za wyjątkiem modlitw i czytań związanych z pogrzebem.

Lektor czyta „List do Tessaloniczan”, a następnie nastawnik odczytuje modlitwy św. Efrema i innych. Z molenny na czele orszaku z odkrytą trumną niesie się drewniany krzyż (a nie, jak w Wojnowie, ikony), specjalnie przygotowany do tego celu, albo też kilka krzyży, jeśli zmarły miał szczególne zasługi wobec gminy. Staroobrzędowcy z województwa suwalskiego starają się w miarę możliwości przestrzegać obyczaju, według którego zmarłą kobietę niosą kobiety, a zmarłego mężczyznę – mężczyźni. Przeszedłszy całą drogę w milczeniu, bez śpiewu, podchodzą do przygotowanej mogiły, nastawnik wygłasza modlitwy, wyrażające nadzieję na rychłe zmartwychwstanie. Następnie zakrywa się sawanem twarz zmarłego i zamyka trumnę.”

„Dawniej nad grobami stawiano wyłącznie krzyże drewniane, później pojawiły się metalowe, z różnego rodzaju ornamentami; teraz stawia się także krzyże nagrobne z marmuru lub pomniki z fotografiami zmarłych. Po pochówku następuje poczęstunek w domu zmarłego. Dawniej kobiety i mężczyźni siedzieli przy oddzielnych stołach. W czasach dzisiejszych ta tradycja zanikła. Wedle obyczaju kościelnego panichidę odprawia się na trzeci i dziewiąty dzień po śmierci. W te dni dusza uchodzi na Sąd Niebieski by się pokajać.

Szczególnie ważna jest modlitwa za zmarłych w czterdziestym dniu, gdy dusza ostatecznie rozłącza się z ciałem. Za wyjątkiem „czterdziestopustu” pozostałych panichid nie odprawia się we wszystkie święta, w czasie „swiatków” i w Wielki Post (oprócz sobót). Wspomnienie zmarłych, jeśli czterdziesty dzień po śmierci przypadnie na czas Wielkanocy, określa Ustaw wydany w Rydze w 1991 r.”

Na ślady staroobrzędowców możemy też trafić w literaturze: jeden rozdział poświęcił im w swej książce „Na tropach Smętka” Melchior Wańkowicz, (1892-1974), pisarz i publicysta; 1939-58 poza krajem, m.in. w Wielkiej Brytanii i USA; mistrz opowieści reportażowej, nawiązywał do tradycji gawędy szlacheckiej (Na tropach Smętka 1936, Tędy i owędy 1961), reportaże i proza wojenna (Bitwa o Monte Cassino 1945-47, Hubalczycy 1959, Westerplatte 1959), wspomnienia (Szczenięce lata 1934, Ziele na kraterze 1951), publicystyka, szkice z teorii literatury faktu (Karafka La Fontaine'a 1972-80). W 1934 r. odwiedził wraz z córką Martą, Tirliporkiem, Prusy Wschodnie, m.in. Wojnowo.

Czasy powojenne

Po wojnie Mazury i Warmia znalazły się w granicach polskich. Taka decyzja zapadła na konferencji w Teheranie w 1943 r., gdy Stalin zażądał przyłączenia Królewca do Związku Radzieckiego. Ostateczna decyzja zapadła w Poczdamie na początku sierpnia 1945 r., a do oficjalnego wytyczenia granic doszło 16 VIII. Tereny Mazur i Warmii zostały zniszczone przez Armię Czerwoną, miasta spalone, fabryki splądrowane, szyny i inne urządzenia rozebrane i wywiezione. Miejscowa ludność traktowana była przez Rosjan jak Niemcy: byli zabijani, wywożeni w głąb Związku Radzieckiego lub osadzani w łagrach. Tak zaczął się powojenny dramat Mazurów. Akcja wysiedleńcza do 1950 r. objęła 72 tys. osób. Pozostali musieli poddać się poniżającej weryfikacji: na 120 tys. osób ok. 35 tys. odmówiło. W 1949 r. siłą zweryfikowano 19 tys. osób i nadano im polskie obywatelstwo. Osoby, które odmówiły przyjęcia nowego dowodu, zwróciły się do ambasady USA o wystawienie dokumentu świadczącego o przynależności do narodu niemieckiego. Mazurzy i Warmiacy, traktowani wrogo przez władze polskie i osadników, czuli się wyobcowani. W 1956 r. w czasie kolejnej dużej fali emigracji wyjechało 30% autochtonów. W 1975 r. po porozumieniu podpisanym między władzami polskimi i niemieckimi wyemigrowało dalsze 50 tys. osób. Obecnie na Mazurach pozostało niewiele autochtonów. W większości czują się Niemcami. Zaledwie jedno nieliczne Stowarzyszenie Mazurskie z siedzibą w Krutyni odwołuje się do polskich korzeni.

Po wojnie na Mazury napływali nowi osadnicy, do końca 1945 r. osiedliło się 336 tys. ludzi z terenów zabużańskich i z Polski centralnej. W 1947 r. przymusowo zostali tu przesiedleni Ukraińcy wywiezieni z Podkarpacia w ramach akcji Wisła.



Kończąc pragnę poinformować, że jedna z bardziej uroczych stron w internecie posiada taki oto adres: www.pogranicze.sejny.pl i jest głównie poświęcona kulturowo-etnicznej mozaice ziemi sejneńskiej. Przy pisaniu tego artykułu korzystałem z tekstów i zdjęć tam zamieszczonych.

Fot. Cmentarz w Galkowie.

Andrzej Rumiński



ROWEREM Z DZIEĆMOROWIC

Okolice na wschód od Wałbrzycha oferują wiele ciekawych szlaków rowerowych, na podstawie których samemu można tworzyć własne trasy, dostosowane do posiadanych umiejętności. Teren ten, szczególnie Góry Sowie, posiada wiele pięknych miejsc, zabytków, w każdej niemal miejscowości występują zachowane przykłady architektury sudeckiej. Zwiedzanie tych obszarów łączone z rekreacją rowerową może przynieść wiele korzyści duchowych i zdrowotnych. Dla zachęty proponuję dwie łatwe wycieczki z sympatycznej wsi Dziećmorowice. Znana jest ona z dokumentów już z pocz. XIV w., dziś – przy zróżnicowanych funkcjach, stanowi praktycznie przedmieście Wałbrzycha, z którym łączą go linie autobusowe. Do zwiedzenia jest klasycystyczny kościół z cennym wyposażeniem. Warto wiedzieć, że urodził się tu w 1830 r. Robert Radecke, syn ewangelickiego nauczyciela, kompozytor i kierownik ważnych placówek muzycznych w Berlinie.

Wycieczka nr 1

Wyruszamy kierując się na Wałbrzych. Jedziemy główną drogą we wsi, aż do granic miasta. Na skrzyżowaniu z drogą nr 381 kierujemy się na Kłodzko, po czym odbijamy w lewo na Olszyniec. Tu rozpoczynamy wycieczkę spokojną drogą biegnącą przez pola i lasy. Po około 2 km skręcamy w prawo, zgodnie z drogowskazem „Jedlina Uzdrowisko”. Droga prowadząca do miasta prowadzi ostrymi łukami w dół, o nawierzchni brukowej. W centrum miejscowości znajduje się czynny źródło, gdzie każdy może napić się wody oraz nieczynne już niestety budynki sanatoryjne.

Kolejnym etapem wycieczki jest Głuszycza, znana wśród rowerzystów jako Strefa MTB. Ponadto blisko stąd do podziemnych fabryk kompleksu „Riese”. W Głuszyczy biorą swój początek lub spotykają się, szlaki turystyczne, zarówno piesze jak i rowerowe. Biegnie tędy Główny Szlak Sudecki. Nasza trasa rowerowa biegnie z centrum Głuszyczy szlakiem rowerowym Doliny Marcowej, prowadzącej na Przełęcz Marcową. Szlak został wyznaczony na leśnej drodze, dobrze przygotowanej, biegnącej wzdłuż zbiorników wodnych, gdzie można odpocząć i obserwować wędkarzy. Podjeżdżając wyżej, docieramy do miejsca, gdzie szlak rowerowy zakręca w prawo, a etapem naszej wycieczki jest Przeł. Marcowa. Tu należy odbić na niebieski szlak pieszy, prowadzący prosto, w celu dotarcia na przełęcz. Wymaga to umiejętności jazdy na rowerze w trudniejszych warunkach i opon, przeznaczonych do jazdy górskiej, gdyż na niektórych odcinkach znajdują się liczne gałęzie i bywa wąsko. Na Przeł. Marcowej spotykają się cztery szlaki, w tym dwa rowerowe, co znacznie ułatwia dalszą drogę. Podążając lasem na południe, szlakiem rowerowym zielonym, docieramy do Rozdroża pod Moszną, które jest kolejnym punktem przecięcia się szlaków. Wybór jest duży. Jednak trasa opisywanej wycieczki ma swój ciąg dalszy w kierunku Walimia. Do samej miejscowości czeka nas przyjemny zjazd przez las, następnie łąki. W centrum Walimia możemy odpocząć, zwiedzić kościół, znajduje się tam także opuszczony dwór, niestety, bardzo zaniedbany.

Kolejnym etapem trasy rozpoczyna się w centrum miejscowości i biegnie Szlakiem Martyrologii – przez miejscowość Jawornik. Jest to przepiękna trasa, biegnąca u szczytów Włodarza (811 m) i Strażowej Góry (674 m). Dla zainteresowanych na trasie znajduje się podziemna fabryka „Włodarz”. Szlak Martyrologii prowadzi nas do Jugowic, gdzie musimy kierować się na Świdnicę, drogą nr 383. Jest to najdłuższy odcinek trasy biegnący płasko, co pozwala odpocząć i przygotować się do czekającego nas podjazdu. Ostatnią miejscowością na trasie jest Zagórze Śląskie. Znajduje się tu zamek Grodno oraz Jez. Bystrzyckie. Do zamku można dojechać rowerem od centrum Zagórze i zjechać w stronę owego zalewu. Jednakże miejscem rozpoczęcia ostatniego etapu wycieczki jest centrum wsi. Stąd kierujemy się zgodnie z drogowskazem na Dziećmorowice. Ostatni etap to dosyć długi i stromy podjazd, jednakże drogą asfaltową, o małym natężeniu ruchu. U szczytu Palczyka możemy podziwiać krajobraz Dziećmorowic. Zjazd do wsi jest ostatnim etapem wycieczki.

Trasa wycieczki wynosi około 38 km. Stosunek podjazdów i zjazdów jest wyrównany, są także odcinki płaskie. W większości trasa przebiega drogami asfaltowymi, z wyjątkiem odcinków leśnych głuszyckiej Strefy MTB.

Wycieczka nr 2

Pierwszy etap przebiega drogą, która była końcowym etapem trasy nr 1. Z Dziećmorowic kierujemy się więc do Zagórza, a stamtąd do Jugowic. W Jugowicach skręcamy w lewo do Walimia. Tu rozpoczyna się trzykilometrowy podjazd drogą nr 383. W Walimiu skręcamy w lewo, zgodnie z drogowskazem na Pieszyce. Tu rozpoczyna się brukowana droga, biegnąca wzdłuż zabudowy i starych domów wczasowych. Mijając je droga biegnie przez las ostrymi serpentynami. Przy zakrętach znajdują się zakola, gdzie można usiąść na ławce i spokojnie odpocząć. Jadąc dalej w górę mijamy nieczynną już kopalnię srebra „Silberloch”. Stąd dalej podążamy do Przeł. Walimskiej. Stąd rozciąga się widok na Wielką Sowę na południu oraz na Świdnicę i Dzierżoniów, patrząc w przeciwnym kierunku. Na przełęczy znajduje się punkt piknikowy, mały sklepik oraz parking. Jest to także miejsc przecięcia się wielu szlaków, również rowerowych. Trasa wycieczki prowadzi na północ, połączy drogą (Droga Sowia) schodzącą do Glinna. Odcinek ten to ciągły zjazd, niektóre odcinki mogą być trudne do pokonania, szczególnie leśne. W Glinnie warto zwrócić uwagę na Kościół MB Bolesnej. Przez wieś przebiega Europejski Szlak Długodystansowy E3, którym kierujemy się do Jez. Bystrzyckiego. Godną uwagi miejscowością na trasie jest Michałkowa. Znajduje się tu wiele starych domów letniskowych oraz domów mieszkalnych, będących przykładem architektury sudeckiej. Droga biegnie w obniżeniu, nad którym miejscami wystają duże skały. Dojeżdżając do jeziora kierujemy się w lewo. Charakterystycznym budynkiem nad brzegiem jeziora jest Ośrodek „Fregata”, istniejący od lat 20. XX w. Początkowo był to pensjonat, później ośrodek kolonijny, a dziś pełni on funkcję restauracji oraz oferuje noclegi. „Fregata” posiada taras, z którego podziwiać można zamek Grodno, jezioro oraz tamę.

Następnie drogą biegnącą wzdłuż brzegów jeziora kierujemy się ku tamie, z której roztacza się widok na wieś Lubachów. Przed zbudowaniem tamy i utworzeniem zbiornika miejscowość nosiła nazwę Lubachów Dolny. Natomiast Lubachów Górny znajdował się w miejscu dzisiejszego jeziora, został wysiedlony i zalany w 1913 r. Mijając Lubachów dojeżdżamy do skrzyżowania z drogą prowadzącą przez Złoty Las i Niesułów do Dziećmorowic. Jest to końcowy odcinek trasy, biegnący w większości przez las. Dla miłego zakończenia wycieczki i odpoczynku można zatrzymać się przy zbiornikach wodnych w Złotym Lesie, gdzie znajdują się także restauracje i parking. Ostatnie 3 km trasy to powrót do Dziećmorowic.

Długość przebytej trasy to około 42 km. Trasa ta jest o wiele łatwiejsza niż trasa nr 1, głównie ze względu na mniej strome podjazdy i łatwiejsze zjazdy. Nadaje się stąd dla osób, które wolą jazdę po asfaltowej nawierzchni niż jazdę po bezdrożach.

Agata Pogoda



*Walbrzych od północowschodu –
na horyzoncie Ślęza (718 m).*

Fot. Krzysztof R. Mazurski.



ZDOBYWANIE BIAŁEGO SZCZYTU

Wszystko zaczęło się pewnego zimowego popołudnia tego roku od przypadkowego spotkania z himalaistą Adamem Sikorą w dzierzoniowskiej restauracji ITAKA i rozmów na temat życiowych zainteresowań, pasji, celów i dotychczasowych osiągnięć. Po wstępnym „rozpoznaniu” teoretycznym co do możliwości kondycyjnych (praca zawodowa, osiągnięte szczyty) doświadczony bielawianin zaproponował wspólną wyprawę w Alpy i zdobywanie szczytu Mont Blanc (4810 m).

Przygotowania

Organizatorem ekspedycji był Polski Klub Alpejski z Górnego Śląska, z którym A. Sikora współpracuje. Przed wyjazdem w najwyższe góry Europy zachodniej PKA prowadziło specjalne szkolenia połączone z testem kondycyjnym, technicznym oraz psychicznym prowadzonym w słowackich Tatrach. Uczestniczyłem w takim teście w połowie kwietnia i w trakcie dwóch dni „w pełnym usprzętowieniu” (raki, czekan, kask, liny) dokonaliśmy wejść na Rysy (2503 m) oraz znajdujący się pomiędzy nimi a Gerlachem szczyt Wysoka (2547 m).

Wyjazd i pierwszy czterotysięcznik

Wyjazd w Alpy zaplanowany i zrealizowany został w dwa tygodnie (9-22 czerwca br.). Kierownikiem wyprawy był prezes PKA Bogusław Magrel (Katowice), a „dyrektorem wykonawczym” i prowadzącym operację w terenie Adam Sikora (Bielawa). W wyprawie uczestniczyło dziesięć osób z całej Polski (nie wliczając w to wcześniej wymienionych), z czego cztery brały udział tylko w tygodniowym pobycie w Alpach i samym „ataku” na Mt Blanc. Pierwszy tydzień spędziliśmy po włoskiej stronie Alp aklimatyzując się oraz nabywając ostatnie „szlify” techniczne podczas wejścia na pierwszy czterotysięcznik – Gran Paradiso (4061 m). Na szczyt, który zwieńczony jest atrakcyjną, aczkolwiek sprawiającą nieco trudności w pokonaniu grupką skalną, dotarliśmy w środę 13 czerwca.



Na Grand Paradiso – w oddali Mt Blanc

Przejazd w cień Białego Szczytu. W dole – Chamonix.



Po zejściu z góry jeszcze tego samego dnia przemieściliśmy się do Chamonix (Francja), by oczekiwać dogodnych warunków pogodowych do „ataku szczytowego” na główny cel naszej wyprawy. W wolnych chwilach ćwiczyliśmy pod okiem fachowców wspinaczkę skałkową oraz zwiedzaliśmy stolicę francuskich Alp. Wreszcie zapadła (na bazie pozytywnych prognoz meteo) decyzja o wyruszeniu na Górę. Nasze siły zostały wzmocnione tu czwórka z Krakowa i okolic. Okazało się jednak już na samym początku, iż połowa czerwca nie jest jeszcze sezonem turystycznym i część infrastruktury (jak słynna kolejka zębata TMB) po prostu nie zostały jeszcze uruchomione przez Francuzów. Podchodzenie zaczynaliśmy więc od wysokości 1800 m. Pierwszego dnia bez większych kłopotów (na szczególnie niebezpiecznym odcinku tzw. *zlebu spadających kamieni* oraz na pół kilometra wysokim Wielkim Filarze – Grand Coluoir) z krótkimi przystankami w schronach Lece Rouse i L’Aiguille du Gouter dotarliśmy do wysokości około 3900 m. Tam założyliśmy nasz obóz.

Atak szczytowy i załamanie pogodowe

I 17 czerwca w niedzielę przy silnym wietrze – nie wróżącym nic dobrego, rozpoczęliśmy atak szczytowy. Wejście zajęło nam około 6 godz., a na wierzchołku Europy zachodniej byliśmy około godz. 13.30. Niestety, właśnie wtedy zaczęła się pogarszać pogoda. Po około godzinie nie było już widać chwilami nawet na odległość 50 m. Wiał silny wiatr połączony z zamarzającym deszczem. Tego dnia nie udało nam się wrócić do obozu, a noc spędziliśmy w „awaryjnym” schronie *Bivouac Vallot* u podnóża „Białego Szczytu” na wysokości 4362 m. Tego wieczoru na prośbę służb ratunkowych pomagaliśmy również (nieustannym nawoływaniem) w odnalezieniu właściwej drogi do schronu zagubionemu w tych warunkach Francuzowi.

Zejsście w doliny i powrót

Trzeci dzień przy dużym zmęczeniu i nadal silnym wietrze spędziliśmy na dotarciu do obozu, jego „zwinięciu”, przebyciu tą samą drogą najtrudniejszych odcinków trasy. Kończyliśmy go w schronie *Tête Rouse*. Połowa kolejnego dnia poświęcona była na spokojne schodzenie w doliny. Pełni wrażeń i przede wszystkim dumni z osiągniętego celu wracaliśmy „planowo” na koniec przedostatniego tygodnia czerwca do Polski.

Tomasz Śnieżek

REKORD CICHACZEM

*On jest daleko, bardzo daleko: wysoko ponad Montafon prowadzi
wędrowca Wormser Weg przez krajobraz samotnej wielkości.*

Z więzów schematów wynurza się przed nami skalisty szczyt Kreuzjoch. Ja zostaję i pozwalam mojej pani iść naprzód. Trzymajcie kamerę przy oku i czekajcie na to, by jej sylwetka odcięła się od Gratu. Jak wkrótce potem sam dosięgnę Grat, wynurzy się pode mną we mgle ciemny kształt, oprawiony w ramki kolorowego łuku. Ona wrusza się tak samo szybko jak ja. Zanim sam nie poznałem tego zjawiska, napędziło mi to widmo Brockenu sporo strachu... Jeszcze nawet godzina nie ubiegła, jak wystartowaliśmy ze stacji kolei Hochjochbahn. Między galeriami lawinowymi wiodła Wormser Weg z początku do Sennigrat i następnie płasko do Wormser Hütte. We mgle ledwo ją rozpoznaliśmy.

Znowu z godzinę później stoimy pośród krzewinek jagodowych. Właściwie powinniśmy iść dalej, jako że droga jest daleka. Jednak jagody smakują wspaniale. Szybko nasze palce i wargi są niebieskie od soku. Spoglądamy wstecz na Kreuzjoch, od drogi wiodącej ponad łagodnie pochyłym stokiem do Grasjoch. Tam spotykamy rowerzystów górskich, którzy przyjechali ze St. Gallenkirch. Teraz zamierzają oni przejechać przez obniżenie do hali Alpgues i wtedy zjechać Silbertal. My zostaniemy jednak na wysokościach, nasz najbliższy cel to przedwierzchołek szczytu Scheimersch. Stąd musimy opuścić jagody i wspinać się na Wormser Törl, małą skalną wieżę, która ścieśnia drogę. Krótka za tym idzie się w lewo z lekkim podejściem do wierzchołkowego krzyża na Scheimersch. I widok staje się jaśniejszy. Lornetką obserwujemy cztery panie, które jechały z nami w kabinie kolejki. Ponieważ dodatkowo do wjechania wykorzystały Sennigratbahn, mają one wyraźne wyprzedzenie i znajdują się już w wejściu na górę do siodła poniżej Geisterspitze, na mapach oznaczonego także jako „Pizzeguter Grat”.

Cztery godziny po naszym starcie stajemy także i my na tym siodle. Górny staw Alpgues pozostaje po lewej, my wędrujemy przyjemnie, lekko w dół, dalej ponad halami Roßberg. Koło południowo-zachodniej grani Scharmsteeberg dosięgamy rozległą halę Netza (Netza-Alpe). Krajobraz przypomina mi mocno niektóre etapy długodystansowego szlaku GR 20 na Korsyce: jak tam ciągną się daleko otwarte przestrzenie, droga upływa na ciągłym pod górę i na dół. Jesienny brązowy koloryt hal wzmacnia uczucie samotności. Za to plecak jest coraz lżejszy – nie był zapakowany na dwa tygodnie, lecz tylko na jeden dzień. Na jeden bardzo długi dzień: od Wormser aż do Heilbronner Hütte wędrowcy muszą liczyć około osiem godzin. I od schroniska aż do Kops trwa to jeszcze około dwóch godzin.

Co znaczy, że człowiek nie może już wrócić publicznymi środkami komunikacyjnymi do punktu wyjścia. Po 5,5 godz. spotykamy przy Maderek Jöchle te cztery panie.

Ponad 10 km leży za nimi, 8 km przed nimi – ich długi dzień długo się jeszcze nie skończy. Droga wiedzie bez większych strat wysokości ponad dnem doliny Valschavieltal aż do Valschavieler Jöchle. Potem schodzi łagodnie, przy Valschaviel i do Scheideseen, ponad którymi stoi Heilbronner Hütte.

Opuszczamy Höhenweg przy Jöchle, jako że chcemy złapać autobus do Schruns. Nie zejdziemy więc bezpośrednio do hali Netza, lecz wybieramy nieco dalszą drogę ponad Grappeskopf, piękny punkt widokowy na górny Montafon. Głęboko pod nami rozpoznajemy kolorowe markizy jakiejś gospody. Zimnego piwa, które będziemy tam pić za około dwie godziny, jeszcze nie dostrzegamy.



Tekst i zdjęcia:

Rudolf May

Tłumaczenie:

Krzysztof R. Mazurski

Berge 2007 H. 5

WORMSER WEG

Od Wormser Hütte do Heilbronner Hütte

Wspaniała, technicznie łatwa wysokogórska wędrówka dla bardzo wytrzymałych turystów. Wormser Weg prowadzi wysoko ponad Montafon do Heilbronner Hütte, na granicy między Schönverwall- i Paznauntal.

Punkt wyjścia: górská stacja Sennigrat (2378 m) ponad Schruns.

Punkt końcowy:

Kops (1811 m), 10 godz., 1150 m przewyższeń

Trasa przechodzi Scheimersch i Hochmaderer i prowadzi dalej szerokim łukiem około zakończenia Valschavieltal do Valschavieler Jöchle (2439 m) i do Heilbronner Hütte (2308 m). Jeżeli chce się wejść dodatkowo albo na inny wierzchołek, wędrówka może trwać aż do 12 godz. Od Heilbronner Hütte potrzeba jeszcze prawie 2 godz. do Kops. Powrót tego samego dnia do Schruns ze środkami publicznej komunikacji jest możliwy tylko dla bardzo szybkich wędrowców – w większości nocuje się w Heilbronner Hütte.

NA STYKU KULTUR

Jeżeli chcemy spędzić urlop w jakimś egzotycznym miejscu, niekoniecznie musimy fundować sobie daleką wyprawę. W Europie nie brakuje miejsc o orientalnym klimacie. Ja w ramach jesiennego urlopu postanowiłem odwiedzić leżący na styku kultur Wschodu i Zachodu Mostar. To miasto, położone po obu stronach głębokiego, skalistego koryta Neretwy, jest największym ośrodkiem południowo-zachodniej Bośni-Hercegowiny.

Mostar powstał w połowie XV w. dokoła mostu nad Neretwą, strzeżonego przez warownię i strażników – mostarów. Okres rozkwitu rozpoczął się w czasach osmańskich, kiedy w 1566 r. zastąpiono drewniany most na łańcuchach nowym kamiennym, o charakterystycznym łuku – Kudret Kemer (cudowne sklepienie). Na ówczesne czasy był prawdziwym cudem sztuki budowlanej. Zbudowano go na rozkaz sułtana Sulejmana Wspaniałego, przez znanego architekta tureckiego Hajrudina. Na lewym brzegu pozostała strażnica drewnianego mostu, baszta Herceguša, przy niej w 1676 r. zbudowano sześciopiętrową basztę Tara, służącą jako prochownia, zaś na prawym brzegu – rok później basztę Helebija, będącą strażnicą i więzieniem. Jednym z pierwszych więźniów był bohater narodowy Hercegowiny, walczący z Turkami, S. Kowačević. Wokół mostu stale powstawały nowe domy i warsztaty. Tu pracowali krawcy szyjący bogate stroje orientalne, złotnicy i kowale. W XVII w. było tu ponad trzysta sklepów.

Dokoła tej dzielnicy powstały bogate domy mieszkalne, seraje, meczety i medresy. Miasto przetrwało panowanie tureckie, później okupację austriacko-węgierską i niemiecką, a także epidemie i trzęsienia ziemi. Niestety, kres harmonii sąsiadujących ze sobą meczetów, cerkwi prawosławnych i kościołów przyniosła wojna w 1992 r. Prawie trzy lata trwały tu ciężkie walki. Zniszczono około 5 tys. budynków. Cała starówka leżała w gruzach. Nie oszczędzono i starego mostu wpisanego na listę światowego dziedzictwa kultury. Zniszczyli go chorwaccy nacjonaści w 1993 r. Ofiarami walk była głównie ludność cywilna – zabito ponad 2 tys. mieszkańców w samym śródmieściu, a 25 tys. ludzi uciekło ze swych domów. Do dzisiaj nie wszyscy powrócili. Nie brakuje nowych cmentarzy z nagrobkami z lat 1992-1993. Leżą na nich polegli, którzy zginęli z rąk chorwackich bądź serbskich. Do dzisiaj widać ślady po kulach na elewacjach wielu domów. Niektórych budynków do dzisiaj nie odbudowano.

Aktualnie starówka już funkcjonuje. Przywrócono jej orientalny klimat. Warto odwiedzić któryś z meczetów, wejść na minaret i podziwiać panoramę miasta. Koniecznie trzeba zajrzeć do tureckiego domu, w którym zachowano oryginalny wystrój. No i oczywiście żelaznym punktem zwiedzania musi być bazar i zdjęcia na moście. Międzynarodowa społeczność pomogła odbudować symbol Mostaru – stary turecki most, spinający skaliste brzegi Neretwy. Dzisiaj młodzi chłopcy skaczą z niego do rzeki za 20 euro. Ryzykują, ale duże bezrobocie w regionie zmusza ich do takiego zarobkowania. Miejscowa społeczność muzułmańska zaczyna być w mniejszości. Z prowincji ciągle napływa ludność religii chrześcijańskiej. Miejscowi z rozżaleniem opowiadają, że np. w szpitalu w chrześcijańskiej części miasta są cztery urządzenia do dializy, a w muzułmańskim szpitalu ani jednego. Chrześcijański szpital podobno niechętnie przyjmuje do dializy „dzieci innego Boga”. Jak się dobrze rozejrzeć, to w krajobrazie miasta widać i inne dysproporcje. Wieża kościoła chrześcijańskiego wyraźnie przewyższa minarety meczetów, a na jednym ze szczytów okalających miasto stoi dumnie olbrzymi krzyż, jakby ktoś chciał zaznaczyć swoją wyższość. Czy to pycha, czy zwyczajny brak taktu? Niektórzy filozofowie twierdzą, że wszystkie religie mówią o tym samym Bogu. W Mostarze jakby starano się temu zaprzeczyć, tylko czy to w perspektywie będzie sprzyjać pokojowemu współistnieniu?

Lesław Romanek

Kartka z książki mojego życia

WIELKA WODA NIAGARY

Która to kartka? Czy to ważne? Ważne, że dostałem wizę i wylądowałem w Chicago. Przywitanie brata, amerykańskiego Polonusa, miłe i serdeczne. Miasto, bardzo a bardzo duże i różnorodne. Jak się okazało, także moje wrażenia zapisały się wieloma odcieniami kolorów, smaków i dźwięków. Czy mogło być inaczej, kiedy cała Ameryka jest taka różnorodna. Jedną z pierwszych wycieczek był wyjazd nad wodospad Niagara. W sierpniową sobotę o godz. 4 ruszyliśmy busem w kierunku wspomnianego wodospadu. Organizator, Glaxy Tour przygotował nam program dwudniowej wycieczki. Około 5 po południu jesteśmy w mieście Niagara Falls. Czynnikiem miastotwórczym po obu stronach rzeki były wodospady po stronie amerykańskiej i kanadyjskiej. Dzisiaj każda para młodzieńców stara się spędzić miodowy miesiąc właśnie w tym mieście.

Lecz początek tego cudu przyrody zaczyna się około 12 tys. lat temu, kiedy to cofające się i topniejące lodowce stworzyły strugę wodną z zamkniętego jeziora Erie w kierunku północnym, do jeziora Ontario. Przy tym jeziorze powstaje pierwszy wodospad. Dzisiaj rzeka ma 54 km długości, ale silna erozja wsteczna spowodowała cofanie się wodospadu na odległość ponad 11 km. Cofanie trwa i w ciągu roku następuje przesuw o 1,5 m. Są trzy wodospady i każdy ma swoją nazwę:

- „Amerykanin” ma długość 300 m i wysokość wodospadu 61 m,
- „Welon panny młodej” (Bridal Veil) oddzielony jest wysepką Luna Island (Księżycowa Wyspa) i Goat Island (Kozia Wyspa),
- „Wodospad Podkowy” (Horseshoe Falls) o długości 900 m i wys. 63,6 m.

Przez wodospady w ciągu minuty przepływa 425 tys. m³ wody. A jest to połowa masy wodnej, drugą część skierowano do kilku hydroelektrowni. Dla przykładu, turbiny hydroelektrowni Roberts Moses wytwarzają 3 mln KM. Całkowita drzemiąca moc nurtu rzeki wyliczona została na 50 mln KM.

Pierwsze informacje o wodospadach otrzymali biali ludzie od Indian ze szczepu Irokezów, którzy nazwali ten cud natury ONY-AKA-RA (Grzmiąca Woda). W 1675 r. miejsce to oznaczono na francuskiej mapie, a w kilka lat później stanęli pierwsi biali ludzie. Byli nimi franciszkański mnich Louis Hennepin i podróżnik Thomas Hart Beneton Mural, co się wydarzyło w 1678 r. Pierwszym Polakiem, który pozostawił opis Niagary, był Julian Ursyn Niemcewicz, który przybył do Ameryki z Tadeuszem Kościuszką. Nazwa Koziej Wyspy pochodzi od kształtu tego skrawka ziemi, widzianego z lotu ptaka. Połączenie ze stałym łądem zapewniają mosty dające dojazd i dojście od strony amerykańskiej.

Zjechaliśmy windą do podnóża wodospadu „Amerykanin”, dostaliśmy płaszcze przeciwdeszczowe z kapturami, a na nogi specjalne kapcie. Schody i pomosty pozwalają dojść do Jaskini Wiatrów, a nieślizgające się kapcie zmniejszają ryzyko poślizgnięcia się. Otoczenie sprawia niesamowite widoki, woda spadająca z wysokości ponad 60 m i uderzając w będącą już na dole tworzy krople, kropelki i pył wodny. Grzmot żywiołu dopełnia czarę wrażeń. Wracamy do górnej części wyspy, gdzie roztacza się widok na wodospady. Dalej widać wieżę obserwacyjną i Most Tęczy łączący brzegi USA i Kanady. Turyści, którzy są na tym punkcie widokowym, robią zdjęcia wykorzystując piękno natury i twory ludzkiej ręki.

Kolejną atrakcją turystyczną jest dojście lub dojazd do nadbrzeża w pobliżu wieży obserwacyjnej i popłynięcie stateczkiem „Druhna Mgły” w pobliże wodospadów. I w tym przypadku potrzebujemy płaszcze przeciwdeszczowe, gdyż rozbryzgi drobin wodnych sięgają kilkudziesięciu metrów od spadającej wody. Nienasytzeni widokami, mamy jeszcze jedną atrakcję, do której idziemy ok. 1 km od wspomnianego nadbrzeża, wzdłuż biegu rzeki. Na lotnisku helikopterów, za opłatą 30 dolarów, wsiada się w taki pojazd powietrzny i na 15 min lata się nad wodospadami. Właśnie z wysokości lotu możemy podziwiać ten cud natury i miasta po obu stronach rzeki. Pilot widząc ciekawość pasażerów może podlecieć jak najbliżej „Wodospadu Podkowy” – co jest dużym przeżyciem. Wieczorem idziemy na spacer w pobliże wodospadów, podziwiając podświetlane barwne strumienie spadających wód.

W niedzielny poranek wita nas słoneczna pogoda i po śniadaniu wsiadamy do busa jadącego do Youngstown. W pobliżu miasta zwiedzamy Bazylikę MB Fatimskiej, której budowę rozpoczęto w 1954 r. Z oddali ma ona kształt połowy kuli ziemskiej, na której wierzchołku patronuje potężna figura Matki Bożej. Drugim niesamowitym wrażeniem, są tablice z nazwiskami darczyńców. Ile jest tutaj polskich nazwisk!

Kolejne miejsce to Fort Niagara zwany też Starym Fortem, wybudowany w miejscu, gdzie rzeka Niagara wpada do jeziora Ontario. Od 1726 r. kto rządził w Forcie, ten był panem rzeki i jeziora o powierzchni 19.521 km² z głębokością 237 m. Budowę rozpoczęli Francuzi i przez wiele dziesiątków lat trwał spór pomiędzy właśnie nimi, Indianami, Anglikami, Kanadyjczykami i Amerykanami. W Kanadzie, po drugiej stronie jeziora znajduje się prowincja Ontario z stolicą o tej samej nazwie. Powyższy obiekt przygotowany jest na przyjęcie turystów i wchodząc przez bramę z drewnianą palisadą widzimy: wielohektarowy plac z budynkami gospodarczymi, koszary, a w głębi po prawej stronie – potężną kamiennodrewnianą warownię uzbrojoną w armaty. Stoją one też przy palisadzie od strony rzeki i jeziora. Widoczność z najwyższego piętra warowni jest rozległa i daleka. Przy budynkach toczy się życie z czasów XVIII w., część żołnierzy ćwiczy musztrę, inni stoją na warcie. Kobiety piorą, szyją i przygotowują posiłek. Przy warowni trzech młodych żołnierzy ćwiczy rzuty siekierą i nożem do celu – turyści chodzą między nimi, oglądają i robią zdjęcia.

Po 1,5-godzinnym zwiedzaniu wsiadamy do samochodu i kierujemy się do potężnej hydroelektrowni Roberts Moses. Obejrzenie, zakup pamiątek i porobienie zdjęć trwa nie dłużej niż pół godziny. Wracamy i około godz. 13 ruszamy w powrotną drogę. W Chicago jestem po północy, kilka godzin snu i znowu rozpoczyna się kolejny, ciekawy dzień w Ameryce.

Janusz Prociński

* * *

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

TURYSTYKA NA WROCLAWSKIEJ ODRZE

Odra, druga co wielkości rzeka Polski, posiada duże walory przyrodnicze i krajobrazowe. Połączenia z systemem wodnym Europy to dodatkowy jej atut. Mimo swojego uroku, wielu atrakcji i międzynarodowego charakteru Odra nie ma znaczenia jako szlak turystyczny, ponieważ nie jest w przystosowana do żeglugi pasażerskiej i turystycznej. Panuje powszechna opinia, że Odra to rzeka zaniedbana i zapomniana. Pod względem turystycznym najatrakcyjniejszy jest wrocławski odcinek. Płynąc tu Odrą możemy oglądać zarówno piękne nadodrzańskie krajobrazy, jak i wspaniałe zabytki Wrocławia, które oglądane z wody nabierają dodatkowego uroku. Bohdan Krakowski w przewodniku „Kajakiem po Odrze we Wrocławiu” pisze: *Nie ma w Polsce tak atrakcyjnej rzeki, z której można by podziwiać zabytki miasta i piękno nadodrzańskiej przyrody – łąk, lasów i spotkać różne gatunki ptaków wodnych.* Wrocław posiada największy i najbardziej rozbudowany węzeł wodny w Polsce, który rozciąga się na 25-kilometrowym odcinku. Tworzą go koryta Odry, łączące je kanały i cztery jej dopływy: Oława, Śleza, Bystrzyca i Widawa, oraz obiekty hydrotechniczne. Na jego obszarze znajduje się 10 śluz żeglugowych, 12 jazów i wiele innych urządzeń hydrotechnicznych. Stare nabrzeża, śluzy, jazy i inne urządzenia hydrotechniczne oraz zabytkowe obiekty stałe i pływające, stanowią jedno wielkie muzeum techniki. Wrocław posiada 12 wysp oraz 112 mostów i kładek. Pod względem ilości mostów Wrocław jest czwartym miastem w Europie.

Przez stolicę Śląska prowadzą trzy szlaki wodne: *Wrocławski Szlak Główny* (od śluzy Bartoszowice przez kanał nawigacyjny do śluzy Różanka i śluzy Rędzin), który w zasadzie omija Wrocław; *Wrocławski Szlak Miejski* (od śluzy Szczytniki Starą Odrą i kanałem miejskim do śluzy Miejskiej), *Wrocławski Szlak Śródmiejski* (od węzła szczytnickiego przez węzeł śródmiejski do Odry Dolnej). Bardzo ciekawy jest szlak dokoła Wrocławia: od węzła szczytnickiego przez węzeł śródmiejski i Odrę



Południową, a następnie kanałem Miejskim i Starą Odrą do śluzy Szczytniki. Odbývają się na nim splywy dokoła miasta. Krakowski podaje dziesięć różnych tras kajakowych. Łączna długość szlaków żeglugowych na obszarze Wrocławskiego Węzła Wodnego wynosi 55 km.

Najatrakcyjniejszym fragmentem wrocławskiej Odry jest Śródmiejski Węzeł Wodny, obejmujący odcinek o długości 1,2 km, od rozdziału koryta przed Wyspą Piaskową do Mostów Pomorskich.

W obrębie tego węzła rzeka rozgałęzia się na dwa koryta: Odrę Północną i Odrę Południową, które po około 1,5 km, za Kępą Mieszcząską, ponownie się łączą w jedno koryto Dolnej Odry Wrocławskiej. ŚWW jest niezwykle urozmaicony i bogaty w obiekty hydrotechniczne. Na jego obszarze znajduje się 5 wysp oraz 10 mostów i kładek; 2 zabytkowe, w pełni sprawne, elektrownie wodne; 2 zabytkowe śluzy komorowe: Piaskowa i Mieszcząska, 6 różnego typu jazów; rynnny młyńskie i upusty przy młynach „Klara” i „Maria”.

Jak z tego widać, Odra wrocławska posiada rzeczywiście wyjątkowe walory turystyczne. Niestety, nie są one niewykorzystane. Wpływa na to wiele przyczyn. Główną jest niedrożność Wrocławskiego Węzła Wodnego, a szczególnie węzła śródmiejskiego, który obecnie nie nadaje się dla żeglugi pasażerskiej i turystycznej. Wynika to z warunków nawigacyjnych i istniejących zagrożeń oraz braku dostępnych nabrzeży. Płytkość koryta naraża płynących na mielizny i przeszkody wodne. Natomiast wysoki stan wody zmniejsza prześwit pod mostami, co utrudnia przepłynięcie większym jednostkom i niebezpiecznie zwiększa nurt rzeki. Śluza Mieszcząska także stwarza pewne utrudnienia – nie jest bowiem w pełni wyposażona, a ze względu na ręczną obsługę urządzeń czas śluzowania jest dość długi. Śluza nie ma stałej obsługi i zamiar przepłynięcia przez nią musi być każdorazowo uzgadniany z RZGW i UZŚ. Wszystko to powoduje, że ŚWW w zasadzie nadaje się tylko do turystyki kajakowej i obecnie jest wyłączony z żeglugi. Zamknięty jest także akwen między mostami Tumskim i Piaskowym. Nie są to tu wszystkie ograniczenia. Nieczynna jest Śluza Miejska i w związku z tym zamknięty jest Kanał Miejski, a z powodu przebudowy mostów Szczytnickiego i Warszawskiego ograniczona jest żegluga na Starej Odrze. Obecnie przez centrum Wrocławia nie można przepłynąć – trzeba go ominąć płynąc Kanałem Nawigacyjnym od śluzy Bartoszowice do śluzy Rędzin.

Istotnym czynnikiem utrudniającym rozwój turystyki wodnej na Odrze jest brak odpowiedniej infrastruktury, czyli ogólnodostępnej sieci marin i przystani, z zapleczem hotelowym i turystycznym. W dzisiejszych czasach, na takich rzekach jak Odra, dominuje turystyka motorowodna i pasażerska turystyka wycieczkowa. Żaden turysta zagraniczny, a także wielu turystów polskich, nie przyplynie do Wrocławia, jeżeli nie będzie miał gdzie zacumować, umyć się, skorzystać z toalety, naładować akumulator, nabrać paliwa itp. Nie wszyscy chcą uprawiać turystykę „aktywną”: wiosłować, przenosić kajaki, gotować na warniku i nocować w namiocie stawianym na nabrzeżnych łąkach. Obecne warunki na Odrze wrocławskiej bardziej zachęcają amatorów szkół przetrwania niż współczesnych turystów, szczególnie z Europy Zachodniej. Przyczyną tego jest brak odpowiedniej polityki państwa w zakresie zagospodarowania i wykorzystania śródlądowych szlaków wodnych w Polsce, szczególnie tak ważnego szlaku, jakim jest Odra, oraz zwrócenie się „plecami” do Odry władz samorządowych. W wywiadzie zamieszczonym w „Dzienniku” dyrektor Departamentu Infrastruktury i Gospodarki UM Wrocławia Rafał Guzowski to potwierdza: „Odra jest ogromnym walorem naszego miasta, ale niewykorzystanym”. I dalej: „Chcemy obrócić Wrocław twarzą do Odry, bo na razie jest odwrócony do niej plecami”.



Obrócić Wrocław twarzą do Odry oznacza u dyr. Guzowskiego oświetlenie zabytkowych budowli i nadodrzańskich bulwarów na wzór Lyonu. Nie ma w ogóle mowy o udrożnieniu wrocławskich szlaków wodnych, budowie przystani i rozwoju turystyki wodnej. Nieprzemysłane inwestycje nad Odram, jak marina ATM przy ul. ks. Witolda, wcale nie oznaczają, że władze Wrocławia są zainteresowane turystycznym ożywieniem Odry.

Wrocławski Flis

To wszystko powoduje, że brak jest szerszego zainteresowania mieszkańców Wrocławia oraz

turystów polskich i zagranicznych turystyką wodną na Odrze wrocławskiej. Jest to obraz niezbyt zachęcający. Ale nie można powiedzieć, że na Odrze wrocławskiej nic się nie dzieje. Po Odrze płyną żaglówki, kajaki, osady wioślarskie i statki żeglugi pasażerskiej.

We Wrocławiu działają liczne kluby żeglarskie, kajakowe i wioślarskie. Ale żeglarze prowadzą głównie szkolenia oraz urządzają regaty. Wioślarze pływają wyłącznie sportowo. Więcej turystycznie po Odrze pływają kajakarze. Organizowany co roku przez kajakarzy spływ dokoła Wrocławia jest bardzo interesującą turystyczną imprezą wodniacką i gromadzi setki uczestników. Dużą, zwracającą uwagę imprezą turystyczną na Odrze jest *Flis Odrzański*, który co roku przepływa przez Wrocław pod koniec czerwca. Ale to stanowczo za mało, by można powiedzieć, że na wrocławskiej Odrze istnieje turystyka wodna. Niestety, jej prawie nie ma – dominuje sport i w mniejszym stopniu rekreacja. We Wrocławiu jest wiele środowisk, którym zależy na turystycznym ożywieniu Odry. Są to przede wszystkim środowiska wodniackie, ale nie są one w stanie ani udroźnić Odry, ani zbudować turystycznej infrastruktury. Inicjatywy wodniaków nie znajdują odzewu u władz miasta. Od lat przy Stowarzyszeniu „Civitas Christiana” działa „Wrocławski lobbing odrzański”, skupiający ludzi, którym na sercu leży wszechstronne, w tym i turystyczne „ożywienie Odry”. Nowym pomysłem na ożywienie Odry jest Wrocławska Inicjatywa Odrzańska (WIO), która została utworzona 26 lutego br. z inspiracji dyrektora Urzędu Żeglugi Śródlądowej we Wrocławiu dra Jana Pysia i prezesa firmy ODRATRANS Andrzeja Klimka. Celem jej jest przywrócenie Odrze znaczenia gospodarczego, turystycznego, ekologicznego i integracyjnego zgodnie ze standardami europejskimi, a także przywrócenie należnej jej rangi ważnego akwenu europejskiego. WIO skupia armatorów żeglugi towarowej i pasażerskiej Wrocławia, przedstawicieli instytucji i urzędów związanych z Odrą, a także



przedstawicieli środowisk wodniackich Wrocławia i innych użytkowników. Podstawowym działaniem będzie zainteresowanie polityków i przedstawicieli władz różnego szczebla oraz przedsiębiorców gospodarczym i turystycznym wykorzystaniem Odry. Organizatorzy WIO mają nadzieję, że ich działania przyniosą pozytywne skutki dla turystycznego rozwoju Odry, a walory turystyczne Odry i Wrocławia przyciągną rzesze turystów polskich i zagranicznych. Czy Odra będzie tętniącym życiem szlakiem turystycznym, pokaże przyszłość.

Żagle na Odrze.

Tekst: Leszek Mulka

Foto: D. Byrczek

JAK POWSTAŁO KOŁO PRZEWODNIKÓW MIEJSKICH WE WROCŁAWIU

W październiku 1952 r. został założony Oddział Wrocławski PTTK, który był organizatorem powstania Koła Przewodników. Za datę powstania przyjmuje się rok 1953, kiedy ta działalność została ujęta w ramy organizacyjne. Nabór na kurs został ogłoszony w prasie wrocławskiej i zgłaszali się na niego wszyscy zainteresowani turyści i miłośnicy ziemi dolnośląskiej. Na kurs przyjmowani byli wszyscy, którzy się zgłaszali – bez egzaminów, rozmów i kwalifikacji. Różny był wiek uczestników, doświadczenie życiowe, wykształcenie, zainteresowania, nie płaciliśmy. Zgłosiłam się i ja, ponieważ ukończyłam historię na KUL-u w Lublinie i te zagadnienia mnie interesowały. Kierownikiem kursu został Józef Pichler, który pracował w Centrali Produktów Naftowych na ul. Kołłątaja we Wrocławiu i tam się spotykaliśmy. Sekretarzem kursu została Anna Łyszcz (Wirpsza). Wykłady odbywały się na Uniwersytecie Wrocławskim w pracowniach panów profesorów. Wykład inauguracyjny na kursie wygłosił prof. Karol Maleczyński 19.11.1953 r. pt. „Historia miasta Wrocławia”. Profesorowie mieli często zastrzeżenia do naszej wiedzy i na początku zajęć chcieli się przekonać, co umiemy. Pamiętam, że na pierwszym swoim wykładzie prof. Mariana Morelowskiego z historii sztuki padło pytanie: rok 1623 – który to jest wiek? Prof. Marcin Bukowski prowadził zajęcia przy odbudowywanych wtedy obiektach, np. ratusza, katedry i innych. Ciągłe się coś budowało nowego, odbudowywało i na bieżąco trzeba było to znać.

Inną formą szkolenia były szkolenia wewnętrzne. Wyglądało to w ten sposób, że w parę osób z kursu podchodziliśmy do wybranego obiektu. Z kierownictwa kursu była osoba, która wprowadzała, opowiadała o oglądanym obiekcie, a potem wszyscy obecni uzupełniali, co kto na ten temat wiedział. Trudnością było to, że nie było jeszcze podręczników, przewodników, korzystaliśmy z prasy codziennej, tłumaczeń z innych języków itp. Stażówki były prowadzone przez asystentów UW. Pierwszą moją stażówkę zaliczałam u Józefa Leszczyńskiego, asystenta historii, a późniejszego profesora historii naszego Uniwersytetu. Egzamin teoretyczny przeprowadzali wykładowcy, praktyczny we własnym zakresie pod opieką wykładowców. Po kursie w 1954 r. dostaliśmy zaświadczenia. Ja dostałam zaświadczenie nr 2 i I klasę przewodniczką. Po latach zostały one zamienione na legitymacje przewodnika PTTK. W 1953 r. nie było jeszcze blach przewodniczkich, tylko zielona opaska z napisem „Przewodnik PTTK”.

Uczestnikami i absolwentami pierwszego kursu przewodników miejskich i sudeckich PTTK byli następujący koleżanki i koledzy: Krystyna Bilińska, Zygmunt Bukowiński, Czesław Cetwiński, Tadeusz Mazur, Zbigniew Mucha, Anna Łyszcz (Wirpsza), Piotr Nocoń, Krzysztof Kiszkiel, Henryk Korczak, Józef Pichler, Witold Prelicz, Zofia Salwa, Mirosław Salwa, Jan Leszczyński, Stefan Skwara, Ryszard Suda, Zygmunt Wojciechowski, Józef Zyska, Jan Żarkowski, Dorota Orlewicz, Renata Sonnenfeld, Lucyna Rzczkowska, Eugeniusz Rachwański, Janina Kamińska.

Wszyscy oni w 1954 r. wstąpili do Koła Przewodników Miejskich, które miało swoje zebrania co tydzień w siedzibie Oddziału Wrocławskiego PTTK przy ul. Świdnickiej 26 (za sklepem). Pierwszym prezesem Koła został Józef Pichler, sekretarzem Anna Wirpsza. Z końcem 1954 r. nastąpiło rozdzielanie przewodnictwa miejskiego i górskiego. W styczniu 1956 r. ponownie połączono przewodników miejskich i górskich. W styczniu 1958 r. nastąpiła ostateczna stabilizacja struktury organizacyjnej i stworzenie dwóch oddzielnych kół – Przewodników Miejskich PTTK i Przewodników Terenowych PTTK. W latach 1956-1957 prezesem Koła Przewodników Miejskich został ponownie Józef Pichler, sekretarzem Anna Wirpsza.

Uczestnicy tego kursu byli fascynatami swojej pracy społecznej w PTTK. Cechowało ich dążenie do osiągnięcia i zdobycia jak największej ilości wiedzy, tworzyli grupę przyjaciół, byli dobrze przygotowani do swojej pracy. Wrażliwi na potrzeby innych do dzisiaj przy okazji spotkań wspominamy, że choć chodziliśmy z grupami piechotą (gdzie tam piękne autokary), dawało to nam satysfakcję, zadowolenie i przekonanie, że byliśmy potrzebni, kiedy miasto leżało jeszcze w gruzach. Pokazywaliśmy, że tutaj jest nasze miejsce i wróciliśmy na swoje ziemie. Nie będę skromna i powiem, że coś tam mam z tzw. odznaczeń, ale najbardziej cenię sobie odznaczenia PTTK i „Budowniczego Wrocławia”.

Do dzisiaj z pierwszego kursu z 1953 r. pracują jeszcze przewodnicy miejscy: Krystyna Bilińska i Janina Kamińska. Ja, niestety, z przyczyn zdrowotnych nie mogę już oprowadzać wycieczek, czego bardzo żałuję. Jak mogę, pomagam Zarządowi i nie tracę kontaktu z Kołem, co sobie bardzo cenię.

Anna Wirpsza

WKRÓTCE TOUR SALON

Coraz więcej atrakcji, coraz więcej ciekawych wydarzeń. Tak zapowiadają się najbliższe targi TOUR SALON. Oto kolejne doniesienia o tym, co w tym roku organizatorzy szykują dla gości targowych.

Fit Expo dla TOUR SALONU

Specjalną niespodziankę dla tegorocznych targów TOUR SALON przygotował Zespół Organizacyjny targów FIT-EXPO. W 2007 r. pojawi się dodatkowa, specjalna przestrzeń ekspozycyjna, na której swoje oferty prezentować będą producenci i dystrybutorzy sprzętu fitnessowo-rekreacyjnego oraz rehabilitacyjnego dla obiektów rekreacyjnych (hotelu, uzdrowisk, ośrodków SPA itd.). Przestrzeń ta stworzona zostanie w całości przez wystawców targów fitnessowych.

Mistrzowie kierownicy na targach

To ogromna gratka dla miłośników autokarów – podczas targów odbędą się pierwsze Mistrzostwa Polski Kierowców Autobusów, które organizuje dwumiesięcznik „Polski Traker Bus” we współpracy z Międzynarodowymi Targami Poznańskimi. Zawody podzielone zostaną na dwie części: teoretyczną, którą będzie m.in. test z przepisów i pomocy przedmedycznej oraz praktyczną: jazdę na precyzję w jak

najkrótszym czasie po określonym torze. Dodatkową atrakcją będzie wystawa modeli autobusów na stoisku pisma „Polski Traker Bus”.

POT wręczy Certyfikaty

Po raz drugi już podczas TOUR SALONu Polska Organizacja Turystyczna uhonoruje Certyfikatami zwycięzców konkursu na najlepszy produkt turystyczny. Laureaci konkursu objęci zostaną także szczególnym programem promocji w latach 2007/2008. Konkurs ma na celu wyłonienie najatrakcyjniejszych, nowatorskich i przyjaznych dla turystów produktów turystycznych oraz ich popularyzację, a także wspieranie inicjatyw regionalnych i lokalnych, których efektem jest tworzenie produktów turystycznych. Prawo zgłaszania kandydatur przysługuje samorządom terytorialnym i gospodarczym, regionalnym i lokalnym organizacjom turystycznym, instytucjom i organizatorom przedsięwzięć, stowarzyszeniom i fundacjom, przedsiębiorcom prywatnym, organizatorom turystyki, a także samym zainteresowanym. Wręczenie Certyfikatów odbędzie się podczas uroczystości otwarcia Targów Regionów i Produktów Turystycznych TOUR SALON w dniu 24.10.2007 r.

Konkurs „Turystyka - wspólna sprawa” rozstrzygnięty

Znani są już laureaci konkursu „Turystyka – wspólna sprawa”, którzy zaprezentują się na największym stoisku podczas tegorocznej edycji targów – Partnera Konkursu. W konkursie wyłonionych zostało 16 laureatów. Kapituła oceniła najlepsze pomysły na produkty turystyczne stworzone przez grupy partnerskie, które powstały w ramach projektu. Przy ocenie brano pod uwagę kryteria takie, jak liczba podmiotów działających w grupie partnerskiej, ocena współpracy członków grupy, liczba atrakcji oferowanych przez produkt turystyczny, ocena stopnia wykorzystania atrakcji turystycznych regionu oraz ocena narzędzi promocji produktu turystycznego. Zgłoszenia konkursowe oceniane były przez grono uznanych ekspertów z branży turystycznej. Pełna lista laureatów znajduje się na stronie www.tws.org.pl.

Nagradzane książki

Po raz kolejny już podczas Tour Salonu nagrodzeni zostaną najlepsi wydawcy książek krajoznawczych i turystycznych, którzy zgłosili na XVI Ogólnopolski Przegląd Książek Krajoznawczych i Turystycznych publikacje opisujące Polskę. Konkurs organizowany jest przez Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych, MTP, PTTK Zarząd Główny Komisja Krajoznawcza oraz Urząd Marszałkowski w Poznaniu. Wszystkie nadesłane książki będą wystawione. Czytelników cieszyć może fakt, że zwieńczeniem Przeglądu będzie przekazanie książek Regionalnej Pracowni Krajoznawczej w Poznaniu, w czytelni której będzie można z publikacji tych korzystać. Uroczyste wręczenie wyróżnień odbędzie się dnia 25 października 2007 r.

Marta Sykucka

Zespół Promocji MTP S.A.; tel. +48/618692630, fax +48/618692960; e-mail: marta.sykucka@mtp.pl

DAWCOM W DARZE...

Z przyjemnością zawiadamiamy, że od sierpnia br. w Akcji DAWCOM W DARZE uczestniczy już 19 obiektów:

- | | |
|--|--|
| - Bacówka PTTK na Maciejowej | - Bacówka PTTK na Rycerzowej |
| - Schronisko PTTK „Andrzejówka” | - Schronisko PTTK na Hali Krupowej |
| - Schronisko PTTK na Hali Miziowej | - Schronisko PTTK na Kudłaczach |
| - Schronisko PTTK na Leskowcu | - Schronisko PTTK na Luboniu Wielkim |
| - Schronisko PTTK na Markowych Szczawinach | - Schronisko PTTK „Murowaniec” |
| - Schronisko PTTK „Orlica” w Szczawnicy | - Schronisko PTTK „Pod Łabskim Szczytem” |
| - Schronisko PTTK „Samotnia” | - Schronisko PTTK „Stare Wierchy” |
| - Schronisko PTTK na Turbaczu | - Schronisko PTTK na Wielkiej Raczy |
| - Baza „Lubogoszcz” - Gościniec „Banica” | - „Stara Chata” w Soblówce. |

Wymienione obiekty przyznają 20% rabatu noclegowego aktywnym Honorowym Dawcom Krwi (na podstawie legitymacji HDK, jeżeli ostatnie pobranie miało miejsce nie dawniej niż przed rokiem). Mamy nadzieję, że następne obiekty pójdą tym śladem. Dokładne informacje o Akcji „DAWCOM W DARZE” znajdują się na stronie www.dawcom.wierch.pl.

Pozdrawiamy serdecznie! **Maria i Eugeniusz Ogrodowiczowie** – gospodarze schroniska PTTK na Hali Krupowej; tel. 018 4475005, 607 033997; www.krupowa.pttk.pl oraz **Kuba Terakowski** – koordynator Akcji DAWCOM W DARZE; tel. 603 305 401; terakowski@o2.pl



Drodzy Czytelnicy.

W czasie naszych wędrówek, spotykamy na swoich drogach i ścieżkach wiele roślin. Dużo osób zna ich nazwy, zastosowanie, działanie. Dla laików, postanowiliśmy od następnego numeru naszego pisma zamieszczać alfabetycznie, jako przerywniki, fragmenty „Zielnika czarodziejskiego...” Józefa Rostafińskiego z 1895 roku. Okazuje się, że rośliny-ziola, mają bardzo szczególne oddziaływanie na nasze zdrowie i samopoczucie. Poznajmy zatem ich działanie!

Na początek, o autorze „Zielnika”, artykuł pani profesor Alicji Zemanek z Instytutu Botaniki Uniwersytetu Jagiellońskiego, która wyraziła zgodę na jego zamieszczenie w naszym magazynie. Pani Zemanek jest członkiem Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN.

Andrzej Rumiński

JÓZEF ROSTAFIŃSKI - BOTANIK I HUMANISTA

W różnych okresach historii nauki pojawiają się uczeni o wszechstronnych zainteresowaniach, których od czasu Leonarda da Vinci zwykliśmy określać mianem "uczonych renesansowych". Warto przypomnieć nieprzeciętną, renesansową osobowość Józefa Rostafińskiego (1850-1928), botanika, humanisty, długoletniego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektora Ogrodu Botanicznego. W trzech dyscyplinach stał się klasykiem polskiej biologii, jako badacz śluzowców, historyk botaniki, współtwórca polskiego nazewnictwa botanicznego. Wysoką pozycję zdobył również jako pisarz przyrodniczy, jeden z najwybitniejszych popularyzatorów biologii w naszym kraju.

Ojciec Józefa, Michał (1807-1881) był dyrektorem Banku Polskiego w Warszawie. Matka, Wilhelmina z Wentzlów (1818-1908) pochodziła ze spolonizowanej kupieckiej rodziny austriackiej, posiadającej skład win na Rynku krakowskim. Rostafińscy mieli pięcioro dzieci, cztery córki i jedynego syna, Józefa, urodzonego w Warszawie, w dniu 14 sierpnia 1850 r. Po ukończeniu Drugiego Gimnazjum w Warszawie przyszedł botanik studiował nauki przyrodnicze w warszawskiej Szkole Głównej (1866-1869), jednej z najbardziej awangardowych na ziemiach polskich uczelni owych czasów. Tutaj kształtowały się idee polskiego pozytywizmu, a Benedykt Dybowski wyłożył po raz pierwszy w naszym kraju podstawy ewolucjonizmu. Profesorem botaniki był Jerzy Alexandrowicz (Aleksandrowicz) (1819-1894). Pod jego kierunkiem Józef rozpoczął badania florystyczne, których rezultatem stała się obszerna monografia *Florae Polonicae Prodromus* wydana w 1872 r. w Wiedniu, w języku niemieckim. Była to pierwsza synteza badań florystycznych Królestwa Polskiego, czyli północno-wschodniej części dzisiejszej Polski. Po rusyfikacji Szkoły Głównej w 1869 r. Rostafiński zdecydował się kontynuować studia w ośrodkach niemieckich, odgrywających wówczas wiodącą rolę w rozwoju nauki. Przez rok studiował na uniwersytecie w Jenie, później przeniósł się na uczelnię w Halle, gdzie zetknął się z wielką indywidualnością Antona de Bary'ego (1831-1888), pioniera badań roślin niższych, zwłaszcza grzybów, współodkrywcę procesu ich rozmnażania płciowego. De Bary był profesorem bardzo lubianym przez studentów, a zorganizowana przez niego szkoła naukowa, najpierw w Halle, później w Strasburgu, skupiła ok. 100 uczniów z różnych części świata. Kiedy w 1870 r. de Bary przeniósł się z Halle na uniwersytet w Strasburgu, gdzie został rektorem, Rostafiński zdecydował się mu towarzyszyć. W 1873 r. uzyskał doktorat, w 1874 r. został asystentem, a w 1875 r. docentem tej uczelni. Jego praca doktorska miała charakter nowatorski w skali światowej, zawierała bowiem koncepcję pierwszego systemu śluzowców. Dwa lata po doktoracie, w 1875 r., młody uczyony opublikował w Paryżu pionierską monografię systematyczną tych organizmów, w której opisał po raz pierwszy 15 rodzajów i 83 gatunki. Równie nowatorska okazała się monografia (w rękopisie) taksonomiczna morskich glonów - brunatnic z rodziny listownic (*Laminariaceae*), nagrodzona w grudniu 1877 r. złotym medalem Królewskiej Akademii Nauk i Sztuk Belgii (niestety rękopis zaginął, a praca nigdy nie ukazała się drukiem, wydrukowano jedynie czternaście kolorowych tablic, które zachowały się w niewielkiej liczbie egzemplarzy do dzisiejszego dnia).

W 1878 r. rozpoczął się nowy etap życia i pracy Rostafińskiego, kiedy powrócił on do kraju i objął stanowisko profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zarazem dyrektora Ogródu Botanicznego. Tutaj pozostał do końca życia, zyskując sławę znakomitego uczonego i nauczyciela kilku pokoleń przyrodników. 28-letni profesor stanął wobec zupełnie nowych zadań. Botanika krakowska miała wprawdzie bardzo dawne tradycje, sięgające czasów Renesansu, Ogród Botaniczny istniał od 1783 r., a osobna katedra botaniki od 1847 r., ale wszystkie te zakłady znajdowały się w złym stanie, z powodu wypadków politycznych i nikłych funduszy, jakie austriackie, zaborcze władze przeznaczały na naukę polską. Dużym osiągnięciem nowego dyrektora było doprowadzenie w 1882 r. do budowy palmiarni ze szkła i żelaza, która przetrwała do 1969 r. Badania naukowe profesora dotyczyły glonów tatrzańskich, zupełnie dotychczas niezbadanych. Wcześniej jeszcze, w 1877 r., odkrył rzadki typ rozwoju zarodkowego u morszczynu nazwany później merogonią. Symbolem jego roli w polskiej fykologii (dziedziny zajmującej się glonami) może być wprowadzenie przez niego nazwy "glon" - pochodzącej z gwary góralskiej (przedtem używano mniej precyzyjnego terminu "wodorosty"). Ukoronowaniem sukcesu życiowego profesora było poślubienie w 1881 r. 20-letniej Marii Ebert (1861-1890) pochodzącej z Warszawy, panny wielkiej urody i inteligencji, o którą starało się wielu konkurentów. W r. 1882 r. urodził im się syn Jan, a rok później córka Zofia. Rostafińscy zamieszkali przy ul. Karmelickiej, gdzie urządzili niewielki salon, do którego przychodzili uczeni i pisarze m.in. Adam Asnyk, Henryk Sienkiewicz, historycy, konserwatyści ze sławnej grupy stańczyków, jak Józef Szujski, czy Michał Bobrzyński. Rostafiński przyjaźnił się również z przywódcą stańczyków, późniejszym rektorem uniwersytetu, hr. Stanisławem Tarnowskim. W latach 1884-1886 pełnił funkcję dziekana Wydziału Filozoficznego. Będąc u szczytu swojej kariery naukowej i towarzyskiej, Rostafiński nie przypuszczał, że czekają go ciężkie lata.

Niedługo po ślubie żona zachorowała na gruźlicę, w owych czasach nieuleczalną. Stosowano jedynie leczenie klimatyczne, które dawało czasem pozytywne rezultaty. Za radą lekarzy wyjechała do Algierii, a po dwóch latach przeniosła się na Maderę, gdzie spędziła ostatni rok życia. Mąż towarzyszył jej przez pewien czas, uzyskawszy urlop od zajęć uniwersyteckich. Zainteresowany egzotyczną florą, miejscową ludnością, dużo podróżował, a wyniki obserwacji wysyłał do krakowskich czasopism, "Czasu" i "Przeglądu Polskiego". W 1888 r. opublikował książkę Z Algierii. Przyroda i ludzie (2 wyd. ukazało się w 1896 r. pt. Świat i ludzie Algieru). Kiedy nie starczyło już pieniędzy na dalszy pobyt za granicą, Maria Rostafińska wróciła do Krakowa, gdzie zmarła w 1890 r., mając zaledwie 29 lat. Imponujące jest to, że w tej tragicznej sytuacji profesor potrafił niemal natychmiast zmobilizować się do intensywnej pracy naukowej. Kłopoty finansowe spowodowane wysokimi kosztami kuracji żony sprawiły, że już wcześniej zaczął wydawać podręczniki szkolne. Nie przypuszczał chyba, że książki te przyniosą mu sławę i będą wznawiane jeszcze długo po jego śmierci. W 1886 r. ukazały się Botanika szkolna dla klas niższych i Botanika szkolna dla klas wyższych. Odegrały one dużą rolę w kształtowaniu ewolucyjnego podejścia do zjawisk biologicznych, wprowadziły też wiele nowych nazw i terminów, jak wspomniany glon, bylina, używka, rośliny nagozalążkowe, okrytozalążkowe.

Książką dla kilku pokoleń okazał się Przewodnik do oznaczania krajowych roślin nasiennych, wydany po raz pierwszy (pod innym tytułem) w 1886 r. jako dodatek do Botaniki szkolnej dla klas niższych. Osiągnął on 21 wydań (często wysokonakładowych) i "przeżył" autora o ponad pół wieku, ponieważ ostatnia edycja (opracowana wspólnie z Olgą Seidl) pochodzi z 1979 r.

W 1886 r. dokonał się przełom w działalności naukowej uczonego. Zaprzestał empirycznych badań nad roślinami, stając się badaczem pogranicza dyscyplin: historii botaniki i innych dziedzin przyrodniczych oraz nazewnictwa roślin. Jedną z przyczyn tego przełomu była nowa fascynacja naukowa, mianowicie studia nad historią uprawy roślin w Europie Środkowej. Dla opracowania tego zagadnienia zaczął badać najstarsze źródła pisane o roślinach na ziemiach polskich, średniowieczne rękopisy i renesansowe druki. Badanie tych źródeł, ich interpretacja botaniczna okazały się sprawą tak trudną, że zajęły mu czas do końca życia. Dzięki tym studiom stał się pierwszym profesjonalnym historykiem botaniki w Polsce, znakomitym znawcą nauk przyrodniczych średniowiecza i Renesansu, oraz nazewnictwa roślin, zwierząt i minerałów. Interesowały go też szerokie relacje natura - kultura np. obrazy przyrody w dziełach literackich czy biologiczne podstawy historii. W 1900 r. uczoney wydał trzy dzieła z okazji jubileuszu 500-lecia odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszym z nich była dwutomowa, ponad 980-stronicowa Średniowieczna historia naturalna (1900) zawierająca

profesjonalne opracowanie informacji przyrodniczej zawartej w najstarszych polskich rękopisach i drukach (od XII do pierwszej połowy XVI w.). Było to pionierskie opracowanie w literaturze światowej. Drugą jubileuszową pracą był Słownik polskich imion rodzajów liczący ponad 800 stron. Zawierał on nie tylko dane historyczne, ale odegrał rolę porządkującą i przyniósł autorowi miano współtwórcy polskiego nazewnictwa roślin. Mniejsze znaczenie miała napisana w ciągu tygodnia (!) blisko stustronicowa Medycyna na Uniwersytecie Jagiellońskim w XV wieku (1900). Spośród innych prac do najbardziej znaczących należą monografie poświęcone literaturze botanicznej Renesansu: Nasza literatura botaniczna XVI w. oraz jej autorowie lub tłumacze [...] (1888) oraz Porównanie tak zwanych zielników: Falimirza, Spiczyńskiego i Siennika (1888). "Produktem ubocznym" badań nad dawną literaturą były studia z zakresu etnobotaniki czyli ludowej wiedzy o roślinach zapisanej w dziełach przyrodniczych od XVI do XVIII w. Oryginalna książka Zielnik czarodziejski to jest zbiór przesądów o roślinach (1895, odb. 1893) była również jednym z pierwszych dzieł tego typu na świecie. Wysokie uznanie wśród historyków i archeologów zyskała praca O pierwotnych siedzibach i gospodarstwie Słowian (1908). Analizując zasięgi niektórych roślin oraz ich nazw uczony wysunął tzw. dnierprzańską hipotezę pochodzenia Słowian (jedną z trzech hipotez cytowanych do dnia dzisiejszego).

Po pięciu latach wdowieństwa Rostafiński ożenił się po raz drugi, z Marią Tomaszewską, z którą miał dwie córki: Justynę (w przyszłości malarzkę przedwcześnie zmarłą na tyfus) oraz Halinę (później - pisarkę utworów dla dzieci). Pod koniec XIX w. Rostafińscy kupili dom w Zakopanem, który stał się ich letnią rezydencją, często odwiedzaną przez uczonych i artystów, m.in. Lucjana Rydla, Piotra Stachewicza, Włodzimierza Tetmajera. W 1910 r., w wieku zaledwie 60 lat, profesor przeszedł na własne żądanie na emeryturę. Nie przerwał jednak intensywnej pracy naukowej oraz działalności w Polskiej Akademii Umiejętności, z którą związany był od wielu lat. W dowód uznania dla wszechstronnej działalności został mianowany członkiem trzech wydziałów: Matematyczno-Przyrodniczego, Filologicznego i Filozoficzno-Historycznego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powrócił do obowiązków w krakowskiej uczelni. W 1919 r. został, jako jeden z pierwszych w świecie, profesorem historii biologii. Wykładał tylko trzy lata z powodu pogarszającego się stanu zdrowia. Zmarł w Krakowie 5 maja 1928 r., w wieku 78 lat. Należy do największych polskich popularyzatorów biologii, wybitnych pisarzy przyrodniczych. Oprócz książki o Algierii wydał zbiór opowiadań *Ze świata przyrody*. Uczeń Raciborskiego, Władysław Szafer, był nieprzeciętnym znawcą i badaczem przeszłości botaniki; miłośniczką i znawczynią historii nauki była uczennica Szafera, Jadwiga Dyakowska, której imieniem nazwana została pierwsza w Polsce Pracownia Historii Botaniki, utworzona w 1994 r. przy krakowskim Ogrodzie Botanicznym, kierowanym niegdyś przez Józefa Rostafińskiego (pełna nazwa placówki: Muzeum Botaniczne i Pracownia Historii Botaniki im. J. Dyakowskiej). W 1996 r. wnuk Józefa, dr Wojciech Rostafiński, emerytowany pracownik NASA



mieszkający na stałe w Stanach Zjednoczonych przekazał tutaj bogate materiały archiwalne, m.in. rodzinne fotografie, listy i inne dokumenty. W rodzie Rostafińskich zamiłowania naukowe utrzymują się od trzech pokoleń. Syn botanika z pierwszego małżeństwa Jan Rostafiński (1882-1966) był zootechnikiem, profesorem SGGW w Warszawie. Jego syn, dr Wojciech Rostafiński, przywódca jednego z oddziałów AK w powstaniu warszawskim, wyemigrował po wojnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie zasłynął jako wybitny uczony, konstruktor silników raketowych, a jednocześnie humanista piszący artykuły popularne o kosmosie nie tylko w języku angielskim, ale i piękną polszczyzną. W 1991 r. wydał w Krakowie korespondencję pierwszej żony botanika Listy Marii z Ebertów Józefowej Rostafińskiej z lat 1881-1890 (...).

Alicja Zemanek

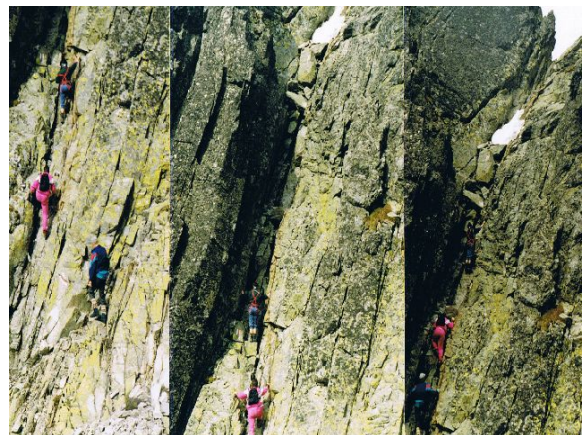


WYGODNIE I BEZPIECZNIE, CZYLI PORADNIK TURYSTYCZNY

NA ORLEJ PERCI I NIE TYLKO

Na Orlej Perci, być może i nie tylko na tym honornym szlaku, warto skorzystać z czegoś, o czym już niejedną raz pisaliśmy w *Na szlaku*. Chodzi o wyposażenie, autoasekurację i w ogóle o zmianę podejścia do szlaków wysokogórskich. TOPR i TPN dyskutują o przyszłości Orlej Perci, mimo że ponad trzy lata temu TOPOR podjął zamiar przekształcenia szlaku w „drogę żelazną”, czyli szlak ubezpieczony typu „via ferrata”. Z ówczesnej korespondencji z naczelnikiem wynikało, że przygotowywany jest projekt zmian na Orlej. Jednak nic z tego nie wynikło, a TOPR cichcem wycofuje się z dawnego projektu. Lansuje się pomysł całkowitego pozbawienia szlaku ubezpieczeń (dziś są to tylko sztuczne ułatwienia) i zaopatrzenia go tylko w stałe punkty asekuracyjne, takie jak na drogach wspinaczkowych. TO CAŁKOWITE NIEPOROZUMIENIE. Ktoś zapomniał, że oprócz wspinaczy z jednej strony i masowej turystyki z drugiej jest pokaźna grupa turystów wysokogórskich obeznanych z trudniejszym terenem, chodzących po Alpach, Dolomitach, wspinających się na „via ferratach” i podobnych szlakach. Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do faktycznego zamknięcia Orlej Perci (co może spowodować przeróbka na drogę wspinaczkową) i szlak będzie dostępny nie tylko dla ludzi po kursach taternickich. Przygotujmy się do zaleceń, które pewnie będą szeroko rozpowszechniane przez TOPR i TPN. Czyli do stosowania autoasekuracji. Już o tym pisałem, jednak temat wraca i jest teraz szczególnie aktualny. Przede wszystkim zestaw do autoasekuracji nie jest tak drogi, jak niektórzy próbują przedstawiać, podając kwotę 500-600 zł. To po prostu nie jest prawda, tym bardziej, że można zrezygnować z kasku, choć zapewne kask uzupełnia wyposażenie czyniąc wspinanie jeszcze bezpieczniejszym. No, ale Tatry to nie kruche Dolomity, gdzie rzeczywiście na pionowych często odcinkach gęsto fruwają kamienie. Na Orlej Perci niewiele jest odcinków narażonych na spadające kamienie: to Żleb Kulczyńskiego, kominek w Czarnych Ścianach, może jeszcze 2, 3 krótkie odcinki.

Potrzebna jest uprząż – wystarczy dolna w cenie 150-200 zł, choć bywają także tzw. ferratowe (w Polsce nie produkuje się) i zestaw do autoasekuracji (zyper) z płytką hamującą (absorberem) i karabinkami w cenie ok. 200-300 zł. Można samemu wykonać taki zestaw kupując oddzielnie kawałek liny i płytkę hamującą (ok. 40-60 zł) oraz dwa karabinki zwykłe i jeden zakręcany. W „moim” sklepie widziałem uprząż od 150 zł i „zyper” (lonżę) za 239 zł. To daje razem 389 złotych. Gdzie jest te 500-600 złotych, o których czytałem w prasie? Chyba ktoś chciał zasugerować, że polskiego turysty nie stać na właściwe wyposażenie i dlatego nie można przerobić Orlej na „ferratę”. Tu uwaga. Nie mogę podawać ani nazw sprzętu czy firm, ani tytułów prasowych, bo w dzisiejszych czasach łatwo podpaść pod paragraf (kryptoreklama, korupcja i inne niecne czyny są w modzie), ale ceny sprawdzałem. Na Orlej Perci nie ma ani tak trudnego terenu, ani takich wysokości, jak na dolomitowych *via ferratach* i choć oczywiście sprzęt najwyższej jakości daje najlepsze zabezpieczenie, to nie przesadzajmy. Jeszcze dziesięć lat temu nawet w Dolomitach nie chodziło się z absorberem (powszechnie) i jakoś wypadków nie było. Trzeba mieć trochę obycia ze skałą, z wysokością i trochę techniki poruszania się w skale i nie liczyć tylko na sprzęt. To nie o to chodzi. Nie można siadać za kierownicę wyścigówki Formuły 1, kiedy jedyną praktyką była jazda na hulajnodze. To nie sprzęt chodzi po górach, tylko ludzie. Uprząż, choćby za 400 zł, turysty sama nie poniesie. Ja chodziłem już po Orlej wyposażony w taki sam zestaw, jak na szlakach w Dolomitach.



Przyznaję, komfort psychiczny jest niesamowity, no i swoboda działania inna. Można wspinać się po skale, a nie dyndać na łańcuchu. No i nikt już nie straci turysty przypiętego karabinkiem do łańcucha. Ileż to było już przypadków „rozbujań” łańcucha – to dzisiejsza codzienność na tatrzańskich szlakach. Na czerwcowym wypadzie w Tatry (I dekada), kiedy było jeszcze sporo śniegu przechodziliśmy (zespół 2-os.) fragmenty Perci z lotną asekuracją. Co prawda w trudniejszych warunkach jest ona iluzoryczna, ale wtedy wystarczająca. Na Orlej Perci zawsze warto mieć kawałek (do 20 m) liny – może się przydać.

Chciałbym, aby nie demonizowano Orlej Perci i nie próbowano jej zamykać lub w drastyczny sposób ograniczać dostęp do szlaku. Ten szlak odpowiada dolomitowej *via ferracie* „łatwej”, a miejscami „nieco trudnej”. Jedyne „trudne” odcinki wedle skali „ferratowej” to trawers na Dol. Pustą za Kozią Przełęczą, trawers w Orlich Turniczkach, jedno miejsce na Kozich Czubach, może jeszcze jakiś kawałek i to wszystko. Oczywiście trudności rosną niewspółmiernie przy zalodzeniu, kiedy jest śnieg, nawet po deszczu. Trzeba uczyć, pokazywać dobre wzory i przekonywać do autoasekuracji. Ostatnie wypadki w rejonie Orlej miały miejsce nie na samej Perci, tylko na łatwym szlaku czarnym z Koziego Wierchu do Doliny Pięciu Stawów i w Żlebie Kulczyńskiego. Ten pierwszy to, prawdopodobnie, skutek potknięcia lub poślizgnięcia na perci. Jasne, że można nabrać impetu i spaść kilka metrów, a uderzenie głową o kamień może mieć tragiczny skutek. Drugi wypadek miał miejsce w późnych godzinach popołudniowych, z czego można wnioskować, że stało się to w zejściu, albo na skutek potknięcia, albo, co bardziej prawdopodobne, na skutek pomylenia drogi. Wyobraźmy sobie tę sytuację. Późne popołudnie, szaro, zmęczenie i (być może) nienajlepsza znajomość terenu. To paskudna mieszanka okoliczności. W zejściu tym żlebem należy pamiętać, że jest podcięty pionowym progiem i że trzeba w odpowiednim miejscu skrócić w lewo do kominka, który sprowadza do Rysy Zaruskiego i dalej do Koziej Dolinki. Jeśli przegapi się to miejsce i zrobi parę kroków w dół to... szkoda gadać.

Większość turystycznych wypadków w górach jest skutkiem błędów turystów, dalej idzie niewłaściwe wyposażenie i kiepski stan zdrowia. Większość turystów zapomina o warunkach w górach: czy jest mokro i ślisko, czy leży śnieg, czy błoto, czy jest ciepło, czy zimno, czy poranny przymrozek nie spowodował zalodzenia perci. To wszystko ma wpływ na bezpieczeństwo. Niech każdy wyciągnie z tego właściwe dla siebie wnioski.

Juliusz Wysłouch



"I gdy znajdę się na stromym wierzchołku, sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe bałwany szczytów - wówczas zaczynam rozplływać się w otaczającym przestworze, przestając się czuć wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech Wszechbytu.

Tchnienie to przebiega przez wszystkie fibry mej duszy, napelnia ją łagodnym światłem i sięgając do głębin, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje, wyrównywa. Godziny przeżyte w tej podświadomości są jakby chwilowym powrotem do niebytu: dają one spokój wobec życia i śmierci, mówią o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu."

*Mieczysław Karłowicz
herbu Karłowicz*

Na kolekcjonerskim szlaku – "4K"

WYSTAWY NA CZAK 2007

Miało być inaczej niż dotychczas – miało być wzorowo, a było jak zwykle. Tak w skrócie można ocenić wystawy i giełdę kolekcjonerską organizowane tradycyjnie na CZAK-ach od wielu lat. Organizatorzy 37. CZAK-u przewidzieli udział uczestników w wystawie i giełdzie kolekcjonerskiej. Stąd w zgłoszeniu były pytania o temacie zbioru, wielkości potrzebnego miejsca itp. Niestety, na miejsce wystawy przeznaczili tylko jedną małą salkę. Jednak powiadomienie tych, którzy zgłosili chęć pokazania zbiorów (o tym, że mają zapewnione warunki wystawiania, o które prosili w zgłoszeniu), było bardzo ogólne. Tradycyjnie szef „4K” przywiózł zbiory powierzone przez kilku członków Korespondencyjnego Klubu Kolekcjonerów Krajoznawców nieuczestniczących w CZAK-u. Byli zresztą i tacy członkowie „4K”, którzy przyjeżdżają na CZAK tylko na wystawę i giełdę kolekcjonerską. Dzięki 13. wystawcom zaprezentowano próbki różnych rodzajów zbiorów, a także różną tematykę zestawioną w oddzielnej tabelce. Dodatkowo w giełdzie wydawnictw i znaczków wzięło udział siedem osób.

Tym razem ze względu na brak miejsca nie podjęto próby zaprezentowania samych kolekcjonerów oraz ich najciekawszych tematów w postaci plakatów. Podobno nieporęcznie transportować przez pół Polski taki plakat. Inni zaś wypowiadali się, że to wygląda na chwalenie się! Szkoda, bo pomysł wydaje się dobry i coraz częściej widywany np. przy organizacji konferencji. Szkoda też, że wystawa i giełda trwały tak krótko. Na dodatek olbrzymim błędem było zaplanowanie w tym samym czasie spaceru po zabytkowym Gdańsku „Gdańsk nocą”. Na przyszłość należy organizatorów namawiać do tego, aby wystawa trwała dłużej i uczestnicy CZAK-u mogli w wolnych chwilach zapoznawać się z dorobkiem wydawniczym oraz kolekcjonerskim z ostatniego roku, a wszystkie zainteresowane oddziały PTTK mogły (i chciały) zaprezentować swoje wydawnictwa, odznaki, plakietki, proporzycy itp. wykonane od poprzedniego CZAK-u oraz umożliwić ich nabycie lub wymianę wszystkim zainteresowanym. Do tego potrzebne jest jednak duże i przestronne pomieszczenie z zamykanymi gablotami, co wydaje się być – jak dotąd – nieosiągalne. Wydaje się też, że organizatorzy powinni ocenić zbiory według zasad sędziowania na imprezach kolekcjonerskich, a zbiory, które osiągnęły najwyższe notowania, nagrodzić cennymi nagrodami. Wszyscy wystawiający powinni zaś otrzymać pamiątkowe dyplomy uczestników. A może udałoby się zorganizować wystawy na przyszłym CZAK-u na ustalony wspólny temat? To zaproponował w czasie otwarcia wystawy przewodniczący Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Krzysztof R. Mazurski. Także apelował o artykuły o tematyce kolekcjonerskiej do kącika „Na kolekcjonerskim szlaku” w elektronicznym wydaniu „Na szlaku”, które ukazuje się jako miesięcznik od grudnia 2006 r. Czekamy na odzew kolekcjonerów.

Otwarcie wystawy kolekcjonerskiej.



Wśród 293 uczestników CZAK-u było obecnych 17. członków „4K”, czyli prawie co siódmy członek klubu. Nie udało się zebrać wszystkich „klubowiczów na CZAK-u” nawet do wspólnej fotografii, choć zdjęcia podczas wystawy były robione. Odbływały się za to spotkania członków klubu „4K” w podgrupach, a zwłaszcza w czasie trwania wystaw i giełdy. Dyskutowano o dawnych czasach, kiedy „Biuletyn kolekcjonerski” był wydawany nie raz, ale cztery razy w roku. Tu przypomnę, że tak było w latach 1995 do 2000, gdyż od 2001 r. środki przeznaczone na powielanie biuletynu przekazano dla „Na szlaku”, gdzie jednocześnie udostępniono comiesięczną kolumnę „Na kolekcjonerskim szlaku”.

W założeniu miało to upowszechnić kolekcjonerstwo krajoznawcze w szerszych kręgach naszego Towarzystwa. O ile jednak biuletyn służył wymianie poglądów na tematy kolekcjonerskie nadsyłanych w postaci listów od kolekcjonerów, to w „Na kolekcjonerskim szlaku” były zamieszczane głównie artykuły problemowe, a zanikła wymiana forma dyskusji korespondencyjnej, zaś liczba członków wzrosła nieznacznie

Tak było do października 2005 r., kiedy zaprzestano wydawania „Na szlaku”. Po wznowieniu „Na szlaku” w postaci elektronicznej, od grudnia 2006 r. „Na kolekcjonerskim szlaku” dalej funkcjonuje, ale np. adresy e-mailowe zgłosił do tej pory co szósty członek „4K”. Reszta, jak widać, nie korzysta z tego coraz powszechniejszego środka komunikacji. Może warto by było przywrócić pierwotną korespondencyjną formę działalności klubu, oczywiście nie zaniebując, lecz rozwijając jego formę internetową? Dyskutowano także o regulaminie klubu opartego o korespondencyjną formę działalności zwykłego klubu PTTK oraz nad szerszym sposobem wprowadzenia w życie systemu odznak kolekcjonerskich. Tradycyjnie kolekcjonerzy postulowali do organizatorów przyszłych CZAK-ów, aby wykazali więcej zainteresowania dla zabezpieczenia zbiorów kolekcjonerskich na CZAK-u, oraz aby można było przeprowadzić wzorcową wystawę z oceną i nagrodzeniem najlepszych zbiorów.

Tekst: **Henryk P. Sabala**

Foto: **Maciej Maśliński**



Od redakcji: Dla zapowiadanej giełdy wydawnictw jedynie znany Czesław Skonka uzyskał stolik dla zaprezentowanych publikacji, a drugi musiał je rozłożyć na okiennym parapecie. Zresztą tradycyjnie krajoznawczy (?) uczestniczący w tych zlotach nie interesują się zbytnio pozycjami, które mogłyby pogłębić ich wiedzę. Chyba że darmowymi.

Zbiory były interesujące.

WYSTAWCY NA CZAK 2007

L.p.	Imię i nazwisko miejsowość	Tytuł kolekcji	Rodzaj kolekcji
1.	Maciej Czabak Opole	„Plakietki związane z morzem”, „Widokówki nietypowe”	plakietki, widokówki
2.	Sebastian Czabak Opole	„Morskie karty telefoniczne”, „Proporczyki związane z morzem”	karty telef., proporczyki
3.	Alfred Feliks Kolonowskie	„Pieczętki z imprez OZ Zawadzkie”	pieczętki
4.	Jan Janeczek Zawiercie	„CZAK drogą poznania kraju”	foldery
5.	Witold Kliza Chełm	„Odznaki O. Wojsk. w Chełmie”	odznaki
6.	Tadeusz Konieczka Inowrocław	„190 rocznica śmierci T. Kościuszki”	zbiór mieszany
7.	Wojciech Kowalski Lublin	„Rocznice pierwszej zbiorowej wycieczki Janowskiego”	zbiór mieszany
8.	Antoni Litwin Olszyna	„Moje wędrówki krajoznawcze”	album
9.	Henryk Paciej Opole	„Biuletyny kolekcjonerskie”, „Na kolekcjonerskim szlaku”, „Odznaki regionalne z opolskiego”	wydawnictwa, artykuły, odznaki
10.	Ewa Polańska Warszawa	„Żaglowce”	zbiór mieszany
11.	Bogusław Szybkowski Opole	„Kolekcja starych map”	mapy
12.	Mieczysław Tokarski Włodawa	„100-lecie powstania PTK”	filatelistyka
13.	Marta Typer Gryfów Śl.	„Widokówki z moich okolic”	widokówki

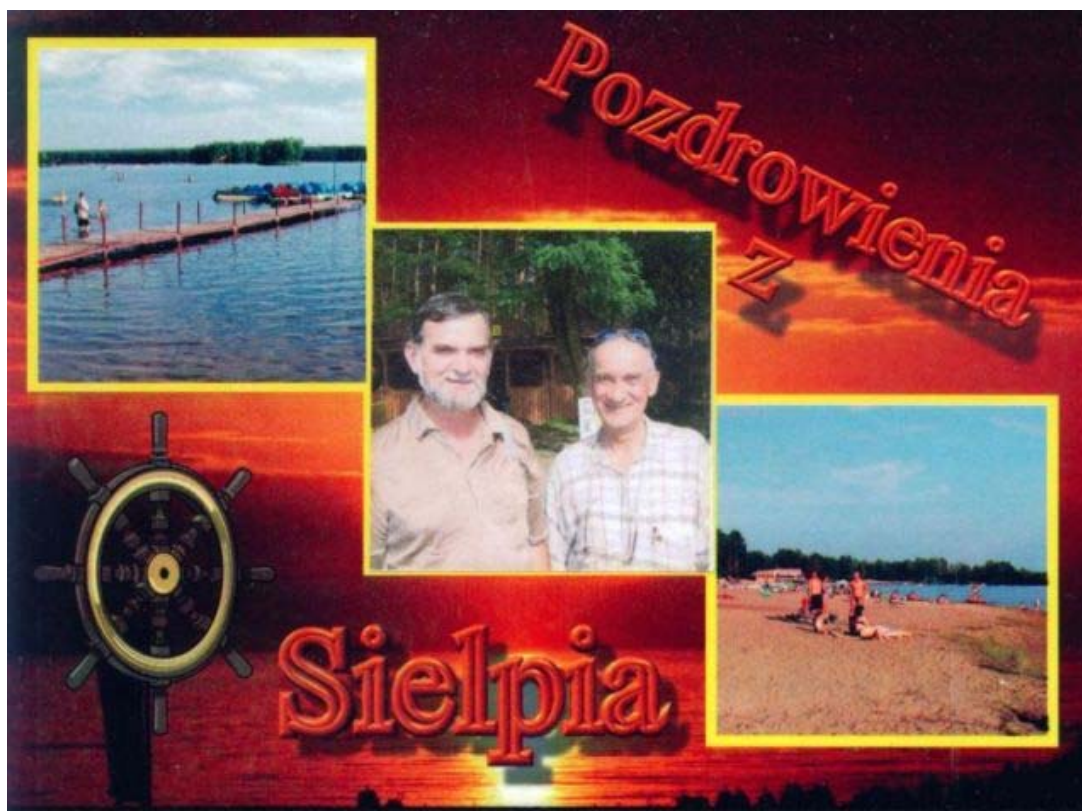
Wystawcy:13, Tematy wystaw: 17, Rodzaje kolekcji: 12

W tym: zbiory mieszane 3, odznaki i widokówki po 2, a po 1: album, artykuły, filatelistyka, foldery, karty telefoniczne, mapy, plakietki, proporzycy, wydawnictwa.

Dodatkowo w giełdzie wzięło udział 7 osób wystawiając swoje zbiory:

1.	Krystyna Gołębiowska Bielsko-Biała	„Giełda książki turystycznej”	wydawnictwa
2.	Krzysztof R. Mazurski Wrocław	„Giełda książki turystycznej”	wydawnictwa
3.	Czesław Skonka Gdańsk	„Giełda książki turystycznej”	wydawnictwa
4.	Barbara Jabłońska Brzeziny	„Giełda znaczków turystycznych”	oznaki
5.	Ewa Jabłońska Brzeziny	„Giełda znaczków turystycznych”	oznaki
6.	Agnieszka Kik Łódź	„Giełda znaczków turystycznych”	oznaki
7.	Marta Kik Łódź	„Giełda znaczków turystycznych”	oznaki

* * *

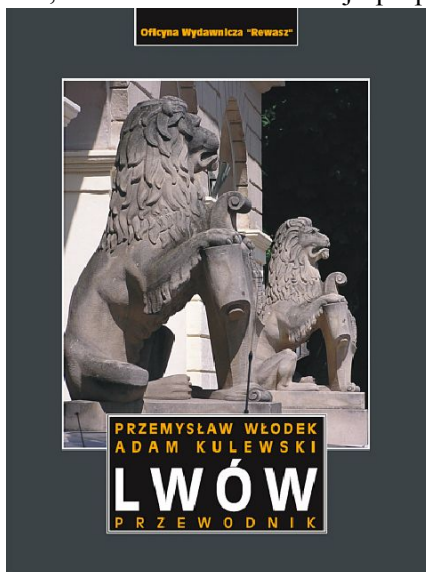




LWÓW – PRZEDNI PRZEWODNIK

„...pojawia się długo oczekiwane słońce, którego promienie rozświetlają Łyczaków i Stare Miasto, a na końcu odbijają się w złotej kopule cerkwi św. Jura”. – czytam na skrzydełku okładki przewodnika po Lwowie - a może bardziej książki?, autorstwa Przemysława Włodka i Adama Kulewskiego. Dla mnie jest to „książka”, która pełni rolę przewodnika. I właśnie te metaforyczne słowa: „pojawia się długo oczekiwane słońce”, dodałbym do odpowiedzi na pytanie: „Po co ta książka?”.

Można teraz pisać prawdę i czytać, co się chce. Dobrze się stało, że autorzy składają hołd dwóm pokoleniom ludzi, którzy nie mogli powiedzieć, co myślą o Teheranie, ani wykrzyknąć swego cierpienia, którzy umierali w poczuciu niezasłużonej krzywdy, a bosy i na kolanach, gdyby im pozwolono doszliby i stanęli przed bramami swego miasta. Zatrzaśnięto przed nimi nie tylko bramę, coś więcej. Skróciłem i spłycałem na potrzeby tej recenzji to, co autorzy napisali we wstępie, bo sam długie lata jako dziecko nie mogłem zrozumieć, dlaczego w domu nie ma mebli, tylko są spakowane kufrы i jedynie krzesła do siedzenia przy pustym stole. Nawet, gdyby na okładce nie było tytułu, a tylko samo zdjęcie *Lwów sprzed ratusza*, wiedziałbym, o czym jest książka. Napisana z sercem, dużą wiedzą o mieście i prostym językiem, przystępnym, nie epatującym, a i tak wszystko wiadomo, co autorzy mają na myśli. Nie ukrywam, że książka jest dla lwowiaków, ale – moim zdaniem, przede wszystkim dla drugiego i trzeciego pokolenia urodzonego już w Polsce Ludowej. Sztucznie teraz brzmi „Polska Rzeczpospolita Ludowa”, ale o „naszej” Polsce mówiło się jedynie w domu, w szkołach uczono innej i propagowano medialnie.



Wspomniałem, że książka jest nie tylko przewodnikiem z opisem tras po mieście, ale zawiera np. krótkie objaśnienia miejsc widokowych, pasaży, parków oraz omówienie... bałaku lwowskiego; nadto dowiemy się, kto w mieście mieszkał. W rozdziale „Z dziejów miasta” udało się autorom w sposób niezwykle syntetyczny opisać historię Lwowa, którą czyta się jednym tchem. Widocznie taka kwintesencja jest potrzebna, nie dla przypomnienia, a zobrazowania. Oczy bowiem po swojemu widzą historię. Przewodnik jest dla każdego, dla tych, którzy do miasta przyjadą po raz pierwszy, nie mając z związków rodzinnych, i dla tych, którzy znają go lepiej lub gorzej, ale obce im w żadnym razie nigdy nie było. Jest więc dla głuchych, słabo słyszących i słyszących, także sercem. Jest wreszcie przewodnikiem przestrzeni i czasu, który przeminał.

W końcu doczekałem się, że w przewodniku sporo miejsca – i nie w sposób pośledni, poświęcono przedmieściom Lwowa. Zawsze w domu – jako berbec, słyszałem, jak mama mówiła o Nowym Lwowie we... Lwowie i w pamięci została intrygująca nazwa „Persenkówka”. A jakie to teraz proste, w przewodniku czytam, że to lwowiacy spolszczyli Szkotowi Persingowi nieco nazwisko i nazwali jego folwark oraz pobliską stację kolejową „Persenkówką”. Dla osób chodzących w góry jest rzeczą naturalną, że tę samą górę w terenie nazywa się inaczej, często występuje kilka nazw w zależności, z jakiego miejsca się na nią patrzy. Na Kaleczej Górze wzniesiono w XIX w. masywną Cytadelę i uśmiechnąłem się od razu, bo to wzgórze różnie nazywano w zależności, skąd się na nie wychodziło. Może dlatego, że pierwotnie – przed splantowaniem, składało się z trzech wzgórz? Od strony ulic Mochnackiego i Kaleczej była to Kalecza Góra; od strony ulicy Pełczyńskiej Góra Pełczyńska; od ulicy Kopernika Góra Wronowskich, ale również Góra Szemberkową lub Tureckimi Szańcami.

Zajrzałem też na ul. Bema i jakże miło mi się zrobiło, gdy przeczytałem, że tu od ul. Gródeckiej dojeżdżał tramwaj konny i znajdowała się ochronka arcybpa Józefa Bilczewskiego. O tym mówiło się w moim domu i jak przeczytałem o tych mało znaczących – wydawało mi się, szczegółach, uświadomiłem sobie, z jaką dokładnością miasto zostało opisane. Każdy więc podobnie będzie po swoich kwartałach miasta wędrował, pewnie z taką samą przyjemnością. Podziękować należy autorom, że nie zapomnieli o Cmentarzu Janowskim, który wyraźnie pomijany jest przez wycieczki, ale trudno się dziwić, że gdy ma się czas do zwiedzania wyliczony, to wybiera się Cmentarz Łyczakowski. A na Janowskim spoczywa metropolita lwowski św. Józef Bilczewski, to tak ku uwadze.

Bardzo praktyczne są załączone na końcu informacje, szczególnie skorowidze ulic według nazw sprzed 1939 r. i nazw obecnych. Na wewnętrznych stronach okładki pomysłowo ulokowano plan miasta na jednej, na drugiej Cmentarza Łyczakowskiego. Jednego mi brak, wydawca nie przewidział osobnego planu miasta, nie każdemu małe planiki poszczególnych kwartałów (dzielnic) wystarczą, nazbyt często jest potrzebne szersze spojrzenie, które umożliwi lepsze rozplanowanie wędrowki po mieście.

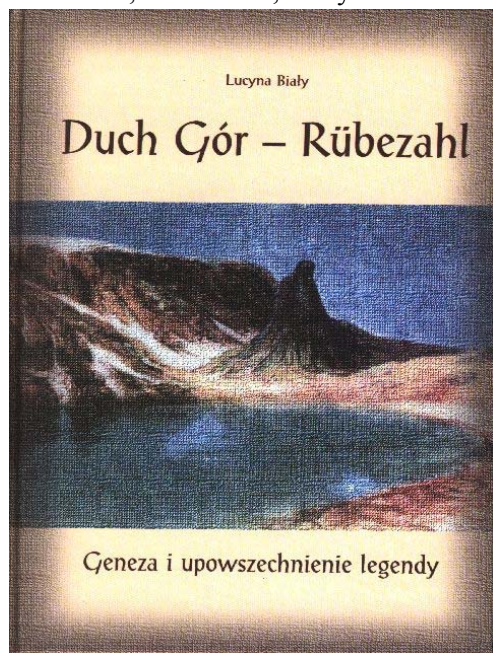
Moje uznanie kieruję ku redaktorom, książka jest doskonale zmkietowana, z wycuciem dobrane zostały ilustracje czarno-białe i kolorowe. Dotąd niezastąpiony wydawał się ilustrowany przewodnik dr. Mieczysława Orłowicza z 1925 r., ale trzeba będzie zmienić zdanie, publikacja Włodka i Kulewskiego przejmuje palmę pierwszeństwa. Trudno mi powiedzieć, czy przewodnik łatwo można nabyć w księgarniach, czasami dziwnymi ścieżkami dystrybucja chodzi, lecz w dobie internetu www.rewasz.com.pl można nabyć nie wychodząc z domu, dobre dla ludzi wygodnych.

Przemysław Włodek, Adam Kulewski: *Lwów. Przewodnik*, Oficyna Wydawnicza „Rewasz”: Pruszków 2006, wyd. I, s. 416, il., B6.

Ryszard M. Remiszewski

JAK KSZTAŁTOWAŁA SIĘ KARKONOSKA LEGENDA

Tuż przed wakacjami miłośnicy Karkonoszy, a Sudetów też, otrzymali od Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze niezwykle interesujący prezent w postaci książki o tutejszym Duch Gór. Jest to wersja książkowa dysertacji doktorskiej wykonanej pod kierunkiem znanego miłośnika gór i literaturoznawcy prof. Jacka Kolbuszewskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego. Choć jest to pierwsza naukowa publikacja o tym atrakcyjnym micie, to nie zaspokaja ona w pełni oczekiwania odbiorcy. Nie jest to bowiem monografia, lecz opracowanie owego wątku w niemieckiej kulturze i to tylko w zakresie oficjalnej sztuki i twórczości, a więc w literaturze, malarstwie, muzyce.



Szczególne znaczenie ma tu ukazanie genezy społecznej popularności owej ‘postaci’ przez zanalizowanie twórczości J. P. Praetoriusa, który zebrał wielką ilość opowieści o niej (i dołożył swoje), oraz J. K. A. Musäusa, który nadał części z nich wysoki walor literacki. Tak więc na dobrą sprawę od końca XVIII w. karkonoski Duch Gór (a może Górski Skarbnik?) wyszedł z kręgu opowieści gminnych na salony. Szybko też zdobył wręcz europejską sławę, a czytanki o tym po niemiecku zwanym Rübezahlu poznawały i polskie dzieci w Galicji, czyli austriackim zaborze. To właśnie oraz przedstawienie przeglądu właściwie problematyki w innych dziedzinach sztuki jest mocną stroną opracowania. Szkoda jednak wielka, że polskiemu czytelnikowi nie podano choćby zarysu polskich interpretacji samej nazwy, która przez zapożyczenie od braci Czechów coraz częściej stosowana jest w formie **Karkonosz** (znakomite plusy: raz, że słowiańskie brzmienie, dwa, że bezbłędnie identyfikuje regionalnie owego ducha; każde góry mogą mieć i mają swojego ducha!). Wprawdzie wspomina się nieszczęsną kalkę Józefa Sykulskiego *Liczyrzepa*, ale brak wzmianki przynajmniej, iż pod koniec życia wycofał się on z tego i przyznał do językowego błędu (*vide* „Śląski Labirynt Krajoznawczy”). Można też było wykorzystać

artykuł niżej podpisanego o aspekcie polskim mitu (w tym numerze zamieszczamy jego przedruk), zwłaszcza że cytowany jest inny z tej samej pozycji.

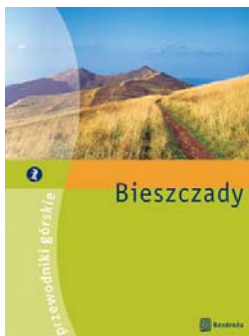
Wartość pozycji podnoszą ilustracje, w tym barwne, obrazów i zapisów muzycznych. Należy wyrazić uznanie Muzeum za taką działalność i życzyć dalszych publikacji o niezwykle atrakcyjnym krajoznawczo i turystycznie regionie.

Lucyna Biały: *Duch Gór – Rübezahl. Geneza i upowszechnienie legendy*. Jelenia Góra: (Muzeum Karkonoskie) 2007, 192 s. ISBN 978-83-89863-54-6. Twarda okładka.

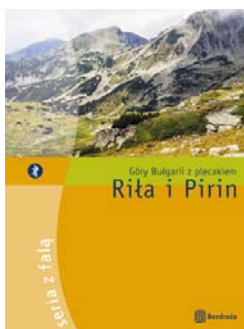
Krzysztof R. Mazurski

Z BEZDROŻAMI NIE ZGINIESZ

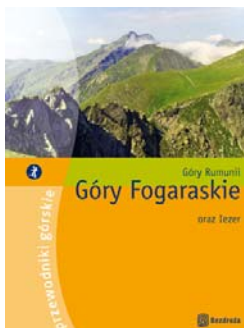
Wydawnictwo Bezdroża ma przyjemność zaprezentować turystom przewodniki z popularnej serii „Z Falą”. Obejmuje ona kilkanaście innowacyjnych w formie i treści przewodników po górach Polski i Europy Środkowej. Pozwalają one bez trudu zaplanować górską wędrowkę nawet początkującym turystom. Oprócz kolorowych map i propozycji tras górskich o różnych stopniach trudności zawierają rzetelny i szczegółowy opis oraz nowatorski profil wysokościowy każdego szlaku. Znajdziemy w nich także barwne fotografie i opisy zachwycających miejsc, do odwiedzenia których zachęcają nas autorzy – wykwalifikowani przewodnicy górscy. Wszystkie książki wydane są na kredowym papierze i mają wygodny, kieszonkowy format i łączenie spiralkowe, ułatwiające korzystanie z nich na szlaku.



„**Bieszczady**” to już drugie, zaktualizowane wydanie przewodnika po tych fascynujących górach. Autor niezwykle szczegółowo opisuje wszystkie 25 proponowanych przez siebie szlaków. Informacje o trasach wzbogacone są o praktyczne wskazówki dotyczące dojazdu i poruszania się po Bieszczadach. Nie zabrakło tu również krótkich opisów bieszczadzkich miejscowości, a także rysu historycznego i kulturowego tych terenów.



„**Pirin i Rila**” – jest to jeden z nielicznych dostępnych przewodników po pasmach górskich zachodniej Bułgarii. Zawiera szczegółowe opisy i mapy 22 proponowanych tras. Turyści mogą znaleźć tu również mnóstwo praktycznych informacji i porad dotyczących transportu czy noclegów, a także opisy najpiękniejszych widoków i miejsc, jakie spotkają na swej drodze. W części krajoznawczej natomiast przewodnik przybliży czytelnikom historię i geografie opisywanego regionu.



„**Góry Fogaraskie**” – przewodnik przybliży czytelnikom skaliste góry Rumunii, ich niezwykłą przyrodę i krajobraz, prowadząc ich przez 22 zróżnicowane trasy. Opisane z detalami górskie ścieżki i widoki uzupełnione są o czytelne, kolorowe mapki i znane z pozostałych przewodników serii praktyczne oznaczenia.

Patrycja Babicka

VIII SPOTKANIE ŚLADOWE NS

Jaśliska 2008

Już teraz zapraszamy na VIII Spotkanie Śladowe „Na szlaku”, czyli w nomenklaturze Komisji Turystyki Narciarskiej na VIII Spotkanie Narciarzy Śladowych. Taką nazwę nosi ta impreza w „Planie działalności KTN na sezon zimowy 2007/2008”. Spotkanie odbędzie się w **Jaśliskach w Beskidzie Niskim 7-10 lutego 2008 r.** Głównym organizatorem jest KT „Ostańce” z Zawiercia pttk.zawiercie@neostrada.pl wspierany przez „Na szlaku”. Propozycje tras przygotuje Andrzej Stróżecki i niżej podpisany, ale jesteśmy otwarci na własne pomysły uczestników. Zapraszamy dotychczasowych uczestników poprzednich Spotkań Śladowych i wszystkich zainteresowanych tą formą turystyki zimowej, czyli wędrowką na nartach śladowych i biegowych. O szczegółach poinformujemy w kolejnym komunikacie na łamach NS.

Zapraszają:

Andrzej Stróżecki i Juliusz Wysłouch



OGŁUPIACZE I GÓRY

Kiedy już nie mam o czym pisać, to piszę o tym, co mnie denerwuje i irytuje. Irytują mnie „ogłupiacze”, czyli informacje serwowane milionom czytelników gazet, a zwłaszcza widzów. Od lat uważnie śledzę prognozy pogody, zwłaszcza zimą, a związany jest ten zwyczaj z planowanymi wypadami w góry, śledzę też wiadomości dotyczące stanu pokrywy śnieżnej i zagrożenia lawinowego. I kiedy tak słucham tych komunikatów śniegowych (narciarskich), to głupieję, bo albo mapy, przewodniki i podręczniki geografii kłamią, albo na użytek stacji telewizyjnych i tzw. „szerokiego widza” istnieje jakaś inna geografia Polski. Oto okazuje się i to już od wielu lat, że taki Romanów-Zdrój leży w Bieszczadach. Podobnie w Bieszczadach lokalizowane są Ustrzyki Dolne z tamtejszym ośrodkiem narciarskim. Początkowo myślałem, że to przejęzyczenie i w następnym komunikacie lokalizacja Rymanowa będzie doprecyzowana, ale nie.

Taka informacja powtarza się od kilku sezonów. Chyba rozrosły się nam te Bieszczady. Dowiedziałem się ponadto, także z TV (program ogólnopolski telewizji publicznej), że Jaworzyna Krynicka leży w Beskidzie Niskim. Był to pewnie drugi komunikat śniegowy w rozpoczynającym się sezonie. Chyba widać pewną tendencję polegającą na przesuwaniu zasięgu pasm górskich „w lewo”, czyli ku zachodowi. No bo skoro Rymanów to już Bieszczady, a Jaworzyna to Beskid Niski, to już nie może być przypadek.

Funkcjonuje potem obieguwa „wiedza” objawiana często w rozmowach mniej lub bardziej obytych w świecie podróżników. Słyszymy do dziś o urlopie „w czeskich Tatrach” albo w tych nieszczęsnych Bieszczadach, czyli np. w Polańczyku czy w Solinie. Dzięki zaliczeniu Jaworzyny do Beskidu Niskiego to górskie pasmo dołączy do terenów dla narciarstwa zjazdowego. Mamy wszak dobrze zagospodarowane stoki w Rymanowie, teraz Jaworzyna z „gondolką” – no, no. Rośnie narciarska potęga niskich gór. Swoją drogą ciekawe, jak awansuje Rytro z nową „stacją narciarską”, a wkrótce Korbielów i Pilsko z nową kolejką linową i Ujsoly z kolejną „gondolką”.

Pisałem już kiedyś o ujsolskich planach budowy ośrodka narciarskiego w oparciu o Lipowską. Okazuje się, że jest już zgoda na wycinkę lasu i wkrótce ruszy budowa kolejki i wyciągów. Wszystko po to, by tutejsi mieszkańcy mogli „żyć z turystyki”. Znowu ktoś liczy na to, że od grudnia do marca zarobi na cały rok. Szkoda, że w degradacji górskich lasów widzą miejscowi swoją szansę, a nie w promocji naturalnego krajobrazu. Fakt, że jedynym dużym ośrodkiem narciarskim w okolicy jest rozdeptane i zajeżdżone Pilsko, ale czy upoważnia to do dalszego niszczenia krajobrazu? Przecież kolejki i wyciągi to nie jest infrastruktura turystyczna, tylko narciarska, a zatem funkcjonująca, w najlepszym wypadku, przez 1/3 roku. Mam uwierzyć, że latem turyści będą wjeżdżać „gondolką” na Lipowską? Ktoś pewnie będzie korzystał z tej kolejki. Ruch będzie tam podobny jak na Mosornym i jakość turystyki podobna, i podobne skutki takiej „turystyki”. A jakie to skutki? Oto na Cylu Hali Śmietanowej, czyli na Kiczorce, pozostały po letnim sezonie kupy śmieci, których kiedyś nie było. Tak jest WSZĘDZIE tam, gdzie kolejki wywożą gromady ludzi nie rozumiejących, gdzie są i po co się w górach znaleźli. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego buduje się w Beskidach tzw. stacje narciarskie, skoro z wielu istniejących wyciągów nikt nie korzysta. Widziałem takie nieczynne żelastwa w środku zimy, a więc... dlaczego?

Juliusz Wystouch

W SOKOŁOWSKU DBAJĄ O TURYSTÓW

Sokołowsko to niewielka miejscowość w gminie Mieroszów, jeden z najstarszych w świecie ośrodków leczenia chorób płucnych. Leży ono w uroczej kotlinie Gór Suchych, niemal pośrodku polskiej części sudeckiego łańcucha. Nic dziwnego, że turystów tu powinno być sporo, ale też trzeba się do tego przyłożyć, czyli stworzyć odpowiednią infrastrukturę i dbać o nią.

Niedawno w trosce o pieszych wędrowców ktoś (lokalne władze, osobnik z inicjatywą?) wpadł na pomysł ulżenia im w ciężkim



znoju pokonywania kilometrów górskich tras. Początek żółtego szlaku, wychodzącego z centrum w kierunku Stożków – Małego i Wielkiego, na odcinku wysypano... gruzem budowlanym! Całe cegły, ich kawałki, fragmenty betonowe jak raz tworzą „idealną”

nawierzchnię do chodzenia. Jak żyję, takiego czegoś jeszcze nie spotkałem! Co za oryginalny pomysł! A przy tym jakie oszczędności: zamiast wywozić gruz na wysypisko ułatwiamy turystom wędrowkę. Ciekawe, czy gruz pochodzi z ruin „Grunwaldu” – jednego z najcenniejszych obiektów sanatoryjnych w Sudetach, którego dewastacji władze gminy nie upilnowały, czy może jakiś inny domek w ten sposób uprzętnięto?



Krzysztof R. Mazurski

* * *

„Na Szlaku” - miesięcznik turystyczno-krajoznawczy. Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK, odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**, **Paweł Rumiński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Andrzej Rumiński**.

Stale współpracują: **Henryk Paciej**, **Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław. tel. 071 343 0344

Kontakt pocztą elektroniczną po kliknięciu na nazwisko. ISSN 1230-9931.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem

„Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.